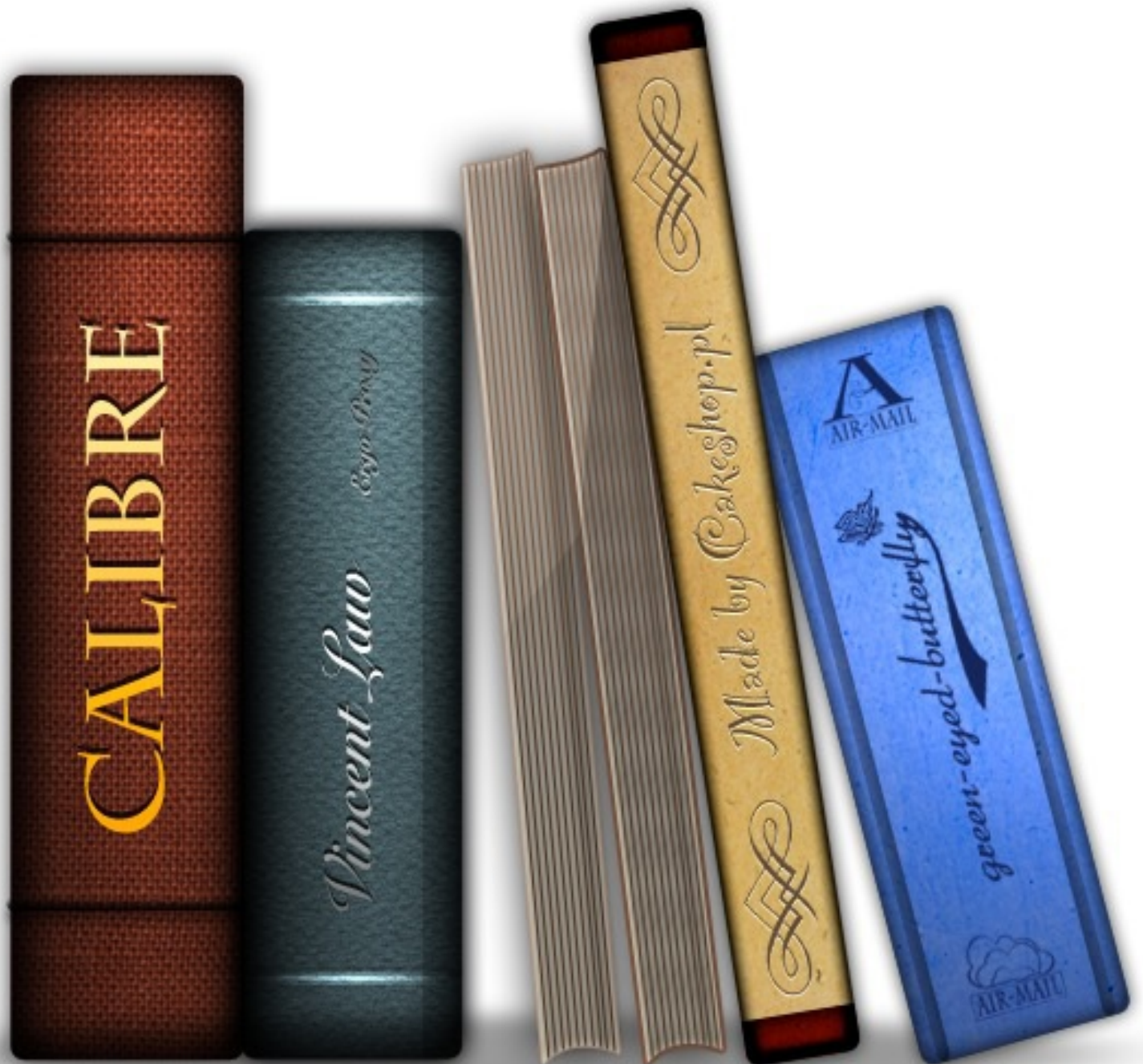


Hornblower i kryzys

C.S. FORESTER



calibre 0.7.3

C.S. FORESTER

Hornblower i kryzys

„WYDAWNICTWO MORSKIE” Gdańsk

„TEKOP” Gliwice

1991

Tytuł oryginału angielskiego: Hornblower and the Crisis

Tłumaczyła z angielskiego: Henryka Stępień

Redaktor: Alina Walczak

Opracowanie graficzne: Erwin Pawlusiński, Ryszard Bartnik

Korekta: Teresa Kubica

ISBN 83-215-5787-2 (WM) ISBN 83-85297-24-3 (Tekop)

Wydawnictwo Morskie, Gdańsk 1991

we współpracy z ”Tekop” Spółka z o.o. Gliwice

Bielskie Zakłady Graficzne zam. 1719/K

Rozdział I

Hornblower spodziewał się pukania do drzwi, bo to, co widział przez okno kajuty, wystarczyło na zorientowanie się co się dzieje na zewnątrz.

— Barka dowożąca wodę podchodzi do burty, sir — zameldował Bush, z kapeluszem w rękę.

— W porządku, panie Bush. — Przygnębiony i poirytowany, Hornblower nie miał zamiaru ułatwiać Bushowi zadania.

— Na pokładzie jest nowy dowódca, sir. — Bush zdawał sobie doskonale sprawę z nastroju Hornblowera, lecz nie bardzo wiedział, jak sobie z tym poradzić.

— W porządku, panie Bush.

Ale takie postępowanie to zwykłe okrucieństwo, rozmyślne dręczenie niemego zwierzęcia. Hornblower uświadomił sobie, że to, co robi, nie sprawia mu właściwie żadnej przyjemności, a tylko wprowadza Busha w zakłopotanie. Powściągnął trochę zły humor i powiedział lżejszym tonem:

— Więc ma pan teraz dla mnie kilka minut, panie Bush? To coś nowego przy pańskim zapracowaniu w ostatnich dwóch dniach.

Słowa te nie były ani słuszne, ani uprzejme, i z wyrazu twarzy Busha można było poznać, jak je odczuł.

— Miałem obowiązki do wypełnienia, sir — mruknął.

— Doprowadzenie „Hotspura” do wzorowego porządku dla nowego dowódcy.

— T... tak, sir.

— Ja, oczywiście, się nie liczę. Jestem tylko kimś niepotrzebnie zajmującym miejsce.

— Sir...

Chociaż Hornblowerowi nie było do śmiechu, musiał się uśmiechnąć na widok zbolalej miny Busha.

— W gruncie rzeczy, panie Bush, cieszę się widząc, że jest pan tylko człowiekiem. Czasami w to wątpiłem. Nie ma na świecie lepszego pierwszego oficera niż pan.

Bush potrzebował dwóch, trzech sekund, żeby przetrwać nieoczekiwany komplement.

— To bardzo łaskawie z pańskiej strony, sir. Bardzo uprzejmie, naprawdę. Lecz to tylko pańska zasługa.

Za chwilę zjedną na śliskie ścieżki sentymentalizmu, a to byłoby nie do zniesienia.

— Czas, żebym się pokazał na pokładzie — powiedział Hornblower. — Pożegnajmy się więc, panie Bush. Wszystkiego najlepszego pod dowództwem pańskiego nowego kapitana.

Tak dalece uległ nastrojowi chwili, że wyciągnął dłoń, a Bush ją ujął. Na szczęście Bush był zbyt wzruszony, by powiedzieć coś więcej niż „Do widzenia, sir”. Hornblower wyszedł spieszenie z kajuty, a Bush za nim.

Ustawianie barki przy burcie „Hotspura” od razu stało się źródłem dystrakcji. Jej burtę na całej długości obwieszono zwiniętymi starymi żaglami i gęsto zabezpieczono odbijaczami z worków z piaskiem, lecz nawet tu, na osłoniętych wodach zatoczki, przerzucenie lin między obydwoma jednostkami i przyciągnięcie ich ku sobie było trudnym zadaniem, wymagającym nie lada zręczności. Z barki wysunięto z hałasem trap nad przerwą między obydwoma pokładami i po tym trapie niepewnym krokiem ruszył tęgi mężczyzna w galowym mundurze. Był bardzo wysoki — sześć stóp i dwa albo i trzy cale — i mocno zbudowany, w średnim albo więcej niż średnim wieku, sądząc po siwej, gęstej czuprynie odsłoniętej po zdjęciu kapelusza. Młodszy bosmani mocno dmuchnęli w swoje gwizdki; dobosze z obu jednostek zagrali nierówny werbel.

— Witamy na pokładzie, sir — powiedział Hornblower

Nowy dowódca wyjął papier z kieszeni na piersiach, rozpostarł go i zaczął czytać. Na rozkaz Busha zdjęto czapki z głów, aby wszystko odbyło się z należytą powagą.

„Rozkaz wydany przeze mnie, Williama Cornwallisa, wiceadmirała Czerwonej Eskadry, kawalera najzaszczytniejszego Orderu Łaźni, dowodzącego królewskimi okrętami i statkami Floty Kanału, dla szanownego Jamesa Percivala Meadowsa...”

— Myślicie, że mamy cały dzień czasu? — krzyknął ktoś donośnym głosem z pokładu barki. — Hej, tam! Przygotować się do odebrania węża! Panie poruczniku, kilku marynarzy do pomp.

Jasna rzecz, że słowa te pochodziły od beczułkowatego dowódcy barki. Bush dawał mu gwałtowne znaki, żeby był cicho, póki ważna ceremonia nie dobiegnie końca.

— Będzie dosyć czasu na te głupoty, jak wszystka woda zostanie załadowana. Za godzinę wiatr zmieni kierunek — odkrzyknął baryłkowaty kapitan, wcale nie zbity z tropu. Kapitan Meadows spojrział groźnie spod brwi. Przez moment wahał się, lecz mimo ogromnego wzrostu nie mógł nic zrobić, żeby uciszyć tamtego. Resztę rozkazu wykrzyczał w tempie bliższym galopu niż cwał, i stawszy się w ten sposób prawowitym dowódcą okrętu JKM „Hotspur”, z wyraźną ulgą złożył pismo.

— Czapki włóż — rzucił Bush komendę.

— Sir, przejmuję pana obowiązki — zwrócił się Meadows do Hornblowera.

— Bardzo mi przykro, sir, z powodu złych manier tego z barki — powiedział Hornblower.

— Dajcie teraz paru krzepkich chłopaków — krzyknął w powietrze baryłkowany dowódca barki, a Meadows z rezygnacją wzruszył ramionami.

— Pan Bush, mój pierwszy oficer... to znaczy pański pierwszy oficer, sir — pośpieszył Hornblower z prezentacją.

— Do roboty, panie Bush — rzucił Meadows, i Bush zabrał się od razu do organizowania przeładunku słodkiej wody.

— Co to za człowiek, sir? — spytał Hornblower wskazując kciukiem na dowódcę transportowca wody.

— Był moją zmurą przez dwa dni — odparł Meadows. Każde jego następne zdanie naszpikowane było brzydkimi wyrazami, których nie ma co przytaczać. — Jest nie tylko dowódcą tej balii, lecz jej właścicielem w trzydziestu siedmiu sześćdziesiątych czwartych. Na kontrakcie z Admiralicją — nie można wcielić przymusowo do służby ani jego, ani żadnego z jego ludzi, wszyscy mają glejty. Gada i robi, co mu się podoba, a ja oddałbym moje przyzwoje za pięć lat naprzód, żeby go mieć na gretingu przez dziesięć minut*.

— Hm — mruknął Hornblower. — Płynę z nim do kraju.

— Może panu będzie się lepiej podróżowało niż mnie.

— Przepraszam panów. — Marynarz z barki szedł energicznym krokiem po trapie, ciągnąc za sobą płócienny wąż. Za nim kroczył ktoś z papierami. Wszędzie panował ruch.

— Przekażę papiery okrętowe, sir — powiedział Hornblower. — Pozwoli pan ze mną? To znaczy, sir... są przygotowane w pańskiej kajucie, jeśli znajdzie pan czas, żeby poświęcić im trochę uwagi.

Kuferek marynarski i worek z przyborami Hornblowera leżały rzucone na gołych deskach pokładu kajuty, patetyczne oznaki rychłego zejścia z okrętu. Przekazanie dowództwa było sprawą kilku chwil.

— Sir, czy mógłbym poprosić pana Busha o marynarza do przeniesienia moich rzeczy? — spytał Hornblower.

Teraz był nikim. Nawet nie pasażerem. Nie miał żadnej pozycji, a fakt ten stał się jeszcze bardziej oczywisty, gdy wrócił na pokład, żeby poszukać swoich oficerów i pożegnać się z nimi. Pochłonięci bieżącymi sprawami, z trudem znajdowali dla niego sekundę czasu. Uściski dłoni były pośpieszne i zdawkowe, z dziwną ulgą ruszył ku trapowi.

Ulgą była krótkotrwała, bo nawet stojący na kotwicy

* Na gretingu (kratownicy), ustawionym pionowo i opartym o burtę, wymierzano chłostę.

„Hotspur” wyczuwalnie kołysał się na boki na martwej fali zakrzywiającej się wokół cypla, i

obie jednostki, „Hotspur” i barka, kiwały się w przeciwnych fazach, a ich nadbudówki to skłaniały się ku sobie, to się od siebie odchyłały, tak że łączący je trap był poddawany kilku różnym ruchom — bujał się jak huśtawka w płaszczyźnie pionowej i poziomo, jak igła kompasu, a przy tym wznosił się i opadał. Lecz najbardziej przerażające — wyczuwalne od momentu, gdy Hornblower postąpił ku przejściu — były szarpnięcia w przód i w tył w rytm zbliżania się i oddalania obu jednostek, powodujące, że rozstęp, nad którym biegł trap, miał to sześć stóp, to szesnaście. Dla bosonogiego marynarza przebiec po nim byłoby niczym, ale Hornblower odczuwał strach — trap miał osiemnaście cali szerokości i był bez poręczy. Czuł, że jest obserwowany przez beczułkowatego dowódcę barki, więc postanowił, raz ruszywszy, iść dalej bez wahania — do tej chwili kącikiem oka badał taniec trapu, udając, że całą swą uwagę skupia na tym, co się dzieje na obu jednostkach.

Potem ruszył szybko, stanął obu nogami na trapie, przetrwał koszmarne chwile, gdy mu się zdawało, że mimo całego pośpiechu wcale nie idzie naprzód, aż z westchnieniem ulgi dotarł do końca trapu i zszedł na stosunkowo stabilny pokład. Baryłkowaty dowódca nie uczynił żadnego powitalnego gestu, toteż gdy dwaj marynarze zwałali jego bagaż na pokład, Hornblower musiał zrobić pierwszy krok.

— Czy pan jest dowódcą tego statku, sir? — spytał.

— Kapitan Baddlestone, dowódca „Princess”[1].

— Jestem kapitan Hornblower i mam być przewieziony do Anglii — ciągnął Hornblower. Świadomie tak sformułował zdanie, dotknięty do żywego bezceremonialnym zachowaniem Baddlestone'a.

— Ma pan swój patent oficerski?

Samo pytanie i sposób, w jaki zostało zadane, ubodło poczucie godności Hornblowera, już i tak rozdrażnionego do tego stopnia, że czuł, iż nie zniesie dłużej takiej bezczelności.

— Mam — oświadczył.

Wielka twarz Baddlestone'a była czerwona, można by nawet rzec: purpurowa. Spojrzenie dwojga zaskakująco jasnych niebieskich oczu rzucone spod grubych brwi napotkało hardy wzrok Hornblowera, zdecydowanego na nieustępliwość i gotowego w nieskończoność wytrzymać frontalny atak tych niebieskich oczu. Lecz Baddlestone zręcznie zaszedł go z flanki.

— Jedzenie kabinowe gwinea dziennie — powiedział. — Albo może pan zapłacić trzy gwinee za całą podróż.

Hornblowera zaskoczyło, że musi płacić za swoje utrzymanie. Czując, że to zaskoczenie odmalowało się na jego twarzy, postanowił nie zdradzić się z nim przynajmniej w słowach. Nie niższy się nawet do zadania pytań wiszących mu na końcu języka. Może być całkiem pewien, że Baddlestone ma prawo po swojej stronie. Czarter Admiralicji przypuszczalnie nakładał na Baddlestone'a obowiązek przewożenia oficerów zmieniających miejsce pobytu, lecz nie było tam na

pewno żadnej wzmianki o ich utrzymaniu w czasie drogi. Szybko obliczył w myślach.

— Niech będzie trzy gwinee — odrzekł najwynioślej jak umiał, zachowując się jak człowiek, dla którego różnica między jedną gwineą a trzema jest nieistotna. Dopiero wypowiedziawszy te słowa pomyślał, że wiatr może skrócić na wschód, a wtedy droga powrotna znacznie się przeciągnie.

W czasie rozmowy jedna z pomp zaczęła pracować bardzo nierówno, a druga teraz stanęła. Cisza po ustaniu ich monotonnego hałasu była aż dziwna. Bush krzyknął z „Hotspura”:

— To dopiero dziewiętnaście ton. Możemy wziąć jeszcze dwie.

— I tych dwóch nie dostaniecie — odkrzyknął Baddlestone. — Wypompowaliśmy się do sucha.

Hornblowerowi było dziwnie, że to już nie jego sprawa, nie ciążyła na nim żadna odpowiedzialność, chociaż automatycznie wyliczył, że teraz „Hotspur” ma słodkiej wody na czterdzieści dni. To Meadows będzie musiał głowić się, jak przechować ten zapas. A ponieważ wiatr może wykręcić na wschód, „Hotspur” będzie musiał przepływać bardzo blisko ujścia Goulet — ale niech Meadows się martwi, on nie będzie miał z tym nic do czynienia, nigdy więcej.

Marynarze, którzy pracowali przy pompach, pobiegli trapem na barkę, a dwaj inni, z obsługi węży, wracali na „Princess”, wlokąc je za sobą. Na końcu szedł oficer pokładowy „Princess”, z papierami.

— Uwaga przy linach! — ryknął Baddlestone. — Kliwerfały!

Baddlestone sam stanął u steru i zręcznie wymanewrował barkę spod burty „Hotspura”. Sterował dalej, a szóstka marynarzy pod nadzorem oficera pokładowego zdejmowała rozwieszone na burcie odbijacze i układała je na pokładzie. Już po kilku sekundach odstęp między dwoma jednostkami stał się za duży, by głos go pokonał. Hornblower patrzył na „Hotspura” ponad połyskującą wodą. Wyglądało, że Meadows wezwał całą załogę na pokład, żeby wygłosić inauguracyjną mowę. Na pewno nikt stamtąd nie rzucił nawet spojrzenia ani na barkę, ani na Hornblowera stojącego samotnie na pokładzie. W marynarce wojennej więzy przyjaźni, zażyłości — choć bardzo silne — mogą ulec zerwaniu w mgnieniu oka. Najprawdopodobniej nigdy już nie zobaczy Busha.

Rozdział II

Na „Princess” płynęło się bardzo niewygodnie. Opróżniono barkę z ładunku słodkiej wody, a nie było prawie nic, czym można by ten ładunek zastąpić. Puste baryłki[2] zbyt były cenne, aby je zanieczyszczać balastem w postaci wody morskiej. A między baryłki ledwie udało się wepchnąć kilka worków piasku, żeby chociaż trochę poprawić stabilność. Statek projektowano pamiętając o tej trudności, toteż dzięki szerokiemu kadłubowi o miskowatym kształcie nawet płynąc bez ładunku właściwie nie mógł się wywrócić dnem do góry, ale poza tym wyczyniał wszelkie możliwe sztuczki. Ruchy miał gwałtowne i zupełnie nie do przewidzenia dla kogoś nie obeznanego z taką jednostką.

Sterować nim było prawie równie trudno jak tratwę, bo dryfował w dolinie fali i dawał się znosić w kierunku zawietrznym, co ograniczało możliwość posuwania się ku Plymouth, jak długo przeważał wschodni kierunek wiatru.

Hornblower musiał znosić wielkie niewygody. Wystawiony na nie znane mu dotąd ruchy pokładu pod stopami, przez dwa dni walczył z atakującą go chorobą morską. Nie uległ jej dzięki temu, że ostatnio przebył bez przerwy kilka tygodni w morzu, lecz wmawiał sobie, co prawda bez przekonania, że może byłoby lepiej, gdyby choroba go dopadła. Przydzielono mu hamak w pomieszczeniu o wymiarach sześć stóp na sześć i pięciu stopach wysokości, ale miał je przynajmniej dla siebie i mógł czerpać pewną pociechę z faktu, że były tam zawieszki dla ośmiu hamaków, po cztery w dwóch warstwach. Dawno nie spał w hamaku, i kręgosłup bardzo wolno dostosowywał się do koniecznego wykrzywienia. Nieobliczalne podskoki i poprzeczne przechyły barki przenoszone na niego przez hamak sprawiały, że tęsknie wspominał luksus koi na „Hotspurze”.

Wiatr, ciągle północno-wschodni, niosący czyste niebo i słońce, nie cieszył Hornblowera. Pewną — wątpliwą zresztą — pociechą mógł być fakt, co rychło stało się rzeczą jasną, iż będzie spożywał „kabinowe jedzenie” Baddlestone'a dłużej niż przez trzy dni. Wszystko, czego pragnął, to dostać się do Anglii, do Londynu, do Whitehall i zapewnić sobie awans na kapitana, zanim nie zdarzy się coś, co mogłoby w tym przeszkodzić. Patrzył markotnie, jak „Princess” coraz silniej jest spychana w stronę brzegu zawietrznego, bardziej nawet niż ciężkie okręty zgrupowane w pobliżu Ushant[3]. Na pokładzie nie było nic do czytania i nic do roboty ani żadnego zacisznego kącika, gdzie mógłby spędzać czas na nicnierobieniu.

Znużony leżeniem w hamaku wychodził właśnie na pokład, gdy ujrzał, że Baddlestone spiesznym ruchem przyłożył lunetę do oka i wpatrzył się w kierunek nawietrzny.

— Nadpływają! — odezwał się, wyjątkowo towarzyski.

Z wielką łaskawością podał lunetę Hornblowerowi. Trudno sobie wyobrazić gest bardziej wielkoduszny (o czym Hornblower wiedział doskonale) ze strony dowódcy jednostki niż rozstanie się nawet na moment z lunetą, gdy coś ciekawego pojawiała się w polu widzenia. W ich kierunku szła flotylla, znacznie większa liczebnie od zwykłej eskadry. Cztery fregaty, z postawionymi wszystkimi żaglami, śpieszyły zająć pozycje czołowe; za nimi sunęły dwie kolumny bojowych okrętów liniowych, siedem w jednej i sześć w drugiej. Płynąc na wyznaczone pozycje równocześnie stawiały żagle boczne. Z wiatrem prosto w rufę i pod wszystkimi żaglami parły wprost na „Princess”. Był to wspaniały widok. Na dziobach łopotały znaki okrętowe, bandery rozwiewały się na masztach jakby idąc ze sobą w zawody. Pod każdym pełnym dziobem wzbijała się i opadała fala spieniana przez kadłuby prujące niebieską wodę. Była to najwspanialsza prezentacja potęgi morskiej Anglii. Prawa środkowa fregata ścinając kurs przemknęła obok miotanej falami „Princess”.

— „Diamond”, 32 działa — powiedział Baddlestone. W jakiś sposób odebrał Hornblowerowi lunetę.

Hornblower patrzył tęsknym, zazdrosnym okiem na fregatę mijającą ich w odległości długiego strzału armatniego. Widział grupkę marynarzy wspinających się po takielunku fokmasztu. W tę krótką

chwile, gdy „Diamond” przechodził obok barki, fokbramsel został zwinięty i ponownie postawiony. Świetna jednostka ten „Diamond” — Hornblower nie dostrzegł najmniejszej nieprawidłowości w zestawie żagli. Oficer nawigacyjny „Princess” ledwie zdążył podnieść brudną czerwoną banderę, żeby oddać salut, na co fregata odpowiedziała salutem swojej niebieskiej bandery. Teraz nadpływała prawa kolumna okrętów liniowych, z trójpokładowcem na czele, górującym nad fałami i w miarę zbliżania się ukazującym ułożone w szachownicę furty strzelnicze. Na bramstendze fokmasztu powiewała niebieska flaga wiceadmiralska.

— „Prince of Wales”[4], 98. Wiceadmiral Sir Robert Calder, baronet — oznajmił Baddlestone. — W tej grupie są jeszcze dwa okręty flagowe.

Obie jednostki pozdrowiły się banderami, po czym, wśród bryzgów piany, nadpłynął fordewindem następny okręt liniowy. Siedem okrętów mijających „Princess” salutowało kolejno banderami.

— Pomyślny wiatr do Finisterre — orzekł Baddlestone.

— Wygląda, że to jest ich kurs — powiedział Hornblower.

Było rzeczą oczywistą, że Baddlestone orientuje się w ruchach floty równie dobrze jak Hornblower, a może i lepiej. Mniej niż tydzień temu Baddlestone był w Plymouth, gdzie mógł przeczytać wszystkie angielskie gazety i wysłuchać, co mówi się w piwiarniach. Hornblower zaś słyszał sporo rozmaitych plotek od „Shetlanda”, statku aprowizacyjnego, który dobił do burty „Hotspura” dwa dni wcześniej niż „Princess”. Twierdzenie Baddlestone'a, że celem podróży Caldera jest tylko Finisterre, a nie Cieśnina[5] czy Indie Zachodnie, świadczyło, jak dużo wie ten człowiek. Hornblower zadał sprawdzające pytanie.

— Jak pan myśli, płyną do ujścia Cieśniny?

Baddlestone spojrział na niego z politowaniem.

— Tylko do Finisterre — odparł łaskawie.

— Ale czemu?

Baddlestone'owi wyraźnie trudno było uwierzyć, że Hornblower nie wie o czymś, co jest szeroko omawiane we flocie i stoczni.

— Villain-noove[6] — rzekł.

Miało to znaczyć: Villeneuve, admirał francuski dowodzący flotą, która kilka tygodni temu przedarła się z Morza Śródziemnego i umknęła Atlantykiem do Indii Zachodnich.

— Co z nim? — spytał Hornblower.

— Wraca, kierując się na Brest. Żeby się tam połączyć z francuską flotą, tak myśli Bonio. Potem Kanał. Armia Bonia czeka w Bulong[7] i Bonio myśli, że następne swoje danie z żab zje w

zamku Windsor.

— Gdzie jest Nelson? — pytał dalej Hornblower?

— Płynie za Villain-noovem. Jak nie złapie go Nelson, to zrobi to Calder. Bonio długo poczeka, zanim zobaczy francuskie marsie w Kanale.

— Skąd pan to wie?

— Od Nelsona przybył slup, jak czekałem na wiatr w Plymouth. I, słowo daję, w pół godziny wiedziało o tym całe miasto.

Była to bardzo ważna wiadomość i najświeższa, jaką można sobie wyobrazić, a przecież już znana wszystkim. W Boulogne Bonaparte trzyma w pogotowiu ćwierć miliona ludzi, wyćwiczonych i wyekwipowanych. Przetransportowanie ich przez Kanał może być trudne mimo tysięcy płaskodennych łodzi zgromadzonych we francuskich portach nad Kanałem, lecz mając dwadzieścia, trzydzieści, a może nawet czterdzieści francuskich i hiszpańskich okrętów liniowych do osłony przeprawy, można coś zdziałać. Za miesiąc Bonaparte może z powodzeniem jeść swoje żaby w zamku windsorskim. Losy świata, losy cywilizacji zależą od zgrania ruchów flot brytyjskich. Jeśli tyle już wiadano w Plymouth w ubiegłym tygodniu, to dziś wiedzą też o tym w kwaterze głównej Bonaparte. Dokładna znajomość posunięć brytyjskich ma dla Francuzów olbrzymie znaczenie przy realizacji planu pozornie wyglądającego na próbę wydostania się spod blokady.

Baddlestone patrzył na Hornblowera ciekawym wzrokiem. Widocznie wyraz twarzy Hornblowera zdradzał jego uczucia.

— Żaden pożytek z martwienia się — stwierdził Baddlestone, i teraz z kolei Hornblower zwrócił na niego badawcze spojrzenie.

Do czasu tej rozmowy, podczas dwudniowego czekania na wiatr, nie zamienili ze sobą nawet dwudziestu słów. Baddlestone czuł widocznie uprzedzenie do oficerów marynarki wojennej. Może przytłumił je brak ze strony Hornblowera jakichkolwiek prób spoufalania się.

— Martwić się? — odrzekł dzielnie Hornblower. — Czemuż to miałbym się martwić? Z Boniem załatwimy się, jak przyjdzie czas.

Wyglądało, że Baddlestone już żałuje, że zaczął rozmowę. Jak przystało na dowódcę przebywającego na pokładzie, rzucał od czasu do czasu spojrzenia na lik grotzągla, i teraz obrócił się do sternika.

— Patrz, u diaska, co robisz! — krzyknął niespodziewanie. — Trzymaj go na wiatr! Czy chcesz, żebyśmy wylądowali w Hiszpanii? Pusty statek, a u steru zamiast żeglarza niezdarny fujara pozwalający mu kręcić się w kółko.

W trakcie tej tyrady Hornblower odszedł na bok. Ogarnęły go dodatkowe obawy, poza tymi, o których wspomniał Baddlestone. Zbliżył się moment przełomowy wojny na morzu, trzeba będzie staczać bitwy, a on jest bez okrętu. Wszystko, co ma, to obietnica, że go dostanie, przyrzeczenie, że

zostanie „mianowanym kapitanem”, gdy będzie mógł stawić się w Admiralicji, aby je wyegzekwować. Przetrwiał dwa lata trudów i niebezpieczeństw, monotonii i napięć w blokadzie Brestu, a teraz, gdy wojna osiąga punkt szczytowy, jest bez pracy. Usiądzie między dwa stołki — walka może się skończyć, jej punkt kulminacyjny minąć, zanim on znów wypłynie w morze. Calder może dopaść Villeneuve'a w ciągu tygodni, a Bonaparte może za czternaście dni spróbować przeprawy przez Kanał. Lepiej byłoby być dowódcą choćby korwety, ale mieć ją, niż pozostawać nie zatwierdzonym kapitanem i bez okrętu. To wystarczało, żeby człowieka doprowadzić do białej gorączki — a tu przez ostatnie dwa dni wiatr ciągle wiał z północnego wschodu, czyniąc z niego więźnia na przeklętym transportowcu, a Meadowsowi na „Hotspurze” dając wszelkie szanse wyróżnienia się. Po dziesięciu latach doświadczenia Hornblower powinien był mieć na tyle rozsądku (i zdawał sobie z tego sprawę), żeby się nie gorączkować z powodu wiatrów nie poddających się żadnej kontroli i niemożliwych do przewidzenia, które rządziły jego życiem od zarania młodości. A mimo to wściekał się do białej gorączki.

Rozdział III

Hornblower wciąż leżał w hamaku, chociaż dawno nastał świt, a nawet całkiem się już rozwidniło. Przewracał się z boku na bok, tak żeby za bardzo nie wybić się ze snu — sztuka, której musiał nauczyć się od nowa sypiając znów w hamaku — i był zdecydowany leżeć w nim jak najdłużej, jak najdalszy od przebudzenia. W ten sposób dzień mu się skróci. Przez ten czas otępiały od snu mózg nie będzie pracował z wytężeniem. Wczoraj był zły dzień, bo sprzyjający podmuch nad wieczorem potrwał tylko tyle, ile było trzeba, żeby „Princess” wróciła do głównej grupy jednostek blokującej eskadry, i zaraz potem irytująco zmienił kierunek na przeciwny.

Z pokładu nad głową Hornblowera dobiegły podniecone głosy, a do burty dobiła łódź. Burknął coś pod nosem i zaczął wygrzebywać się z hamaka. Pewnie to jakieś głupstwo, wcale go nie dotyczące i w ogóle bez znaczenia, lecz to głupstwo wystarczyło, żeby przekreślić jego postanowienie zostania w hamaku.

Siedział w hamaku z nogami na pokładzie, gdy zjawił się midszypmen. Hornblower spojrzał groźnie na niego zamglonymi oczyma. Na widok dopasowanych białych bryczesów i trzewików ze sprzączkami pomyślał, że musi to być jakiś rozpieszczony ulubieniec z okrętu flagowego. Midszypmen podał mu list i to sprawiło, że Hornblower błyskawicznie otrząsnął się ze snu. Złamał pieczęć z opłatka.

Niniejszym prosi się i nakazuje Panu stawić się w charakterze świadka, na Pańskie ryzyko, na sądzie wojennym, który odbędzie się o dziewiątej rano dziś, 20 maja 1805 roku, w kajucie okrętu JKM „Hibernia”, w celu osądzenia kapitana Jamesa Percivala Meadowsa, oficerów i załogi byłego królewskiego słupa „Hotspur”, za stratę rzeczzonego okrętu przez wejście na mieliznę w nocy dnia 18 maja 1805 roku.

Henry Bowden, kontradmirał, dowódca Floty.

Nb. Zostanie przysłana łódź.

Wiadomość ta zdumiała i zaskoczyła Hornblowera. Patrzył z otwartymi ustami na list,

odczytując go ponownie, aż przypomniał sobie o obecności midszypmena i wynikającej stąd konieczności zachowania niewzruszonego wyrazu twarzy.

— W porządku, dziękuję — powiedział sucho. Ledwie midszypmen odwrócił się plecami, a już Hornblower wyciągał swój kuferek marynarski, zastanawiając się, jak usunąć zgniecenia na podniszczonym galowym mundurze.

„Były królewski słup”. To może tylko znaczyć, że „Hotspur” jest stracony całkowicie. Lecz Meadows żyje, co pozwala sądzić, że straty w ludziach były niewielkie lub żadne. Jak widać, Meadows szybko zdążył władować „Hotspura” na mieliznę. Ale to najłatwiejsza rzecz na świecie, co z większą niż ktokolwiek inny pewnością mógł powiedzieć on, któremu to się nigdy nie przydarzyło.

Chcąc się ogolić musiał podsunąć kuferek pod zejściówkę i stojąc na nim wystawić głowę, żeby móc patrzeć w lusterko ustawione na pokładzie. Był za niski, żeby się obyć bez tego zaimprovizowanego podnóżka. Pomyślał, że Meadows jest dostatecznie wysoki, aby dobrze widzieć nad zrębnicą, bez potrzeby stawania na czymś, co dodałoby z łokieć wzrostu.

Nadszedł Baddlestone i z własnej chęci przekazał wiadomość balansującemu niepewnie Hornblowerowi, nie przywykłemu jeszcze całkiem do błazeńskich podskoków „Princess” i w związku z tym mającemu trudności z naciąganiem skóry twarzy jedną ręką, gdy w drugiej trzymał brzytwę.

— A więc „Hotspur” został utracony na Czarnej Skale — zagaił Baddlestone.

— Wiem, wszedł na mieliznę — odrzekł Hornblower. — Nie wiedziałem tylko gdzie.

— Czy pójdzie na dno morza nazywa pan wejściem na mieliznę? Słup dotknął dna na fali odpływu. Przedziurawił się, nabrał wody, a potem odtoczył się z przyływem.

Zadziwiająca rzecz, jak te pomocnicze jednostki floty wyłapywały wszelkie nowiny.

— Czy ktoś zginął? — spytał Hornblower.

— Nie słyszałem nic takiego — odparł Baddlestone.

Na pewno by słyszał, gdyby utonął jakiś oficer. Wszyscy są zatem cali i zdrowi, z Bushem włącznie. Hornblower mógł skoncentrować uwagę na goleniu wrażliwej okolicy lewego kąćka ust.

— Będzie pan składał zeznania, jak słyszę? — mówił dalej Baddlestone.

— Tak. — Hornblower nie miał najmniejszego zamiaru wzbogacać zasobu plotkarskich wiadomości Baddlestone^.

— Jeśli wiatr wykręci na zachód, odpłynę bez pana. Wyładuję pański kuferek na ląd w Plymouth.

— Jest pan ogromnie uprzejmy — rzekł Hornblower, ale zaraz się opanował. Nic się nie zyska kłótnią z człowiekiem niższej kondycji społecznej, są też inne względy. Wytarłszy twarz i brzytwę podniósł wzrok na Baddlestone.

— Mało kto zdobyłby się na taką odpowiedź — zauważył Baddlestone.

— Mało kto tak potrzebuje śniadania jak ja teraz — odparł Hornblower.

O ósmej pod burtę podeszła łódź i Hornblower zszedł do niej. Miał tylko jeden epolet, na lewym ramieniu, co oznaczało, że jego awans na kapitana nie został jeszcze zatwierdzony. U boku zwisał mu langer o rękojeści z mosiądzu — mógł się poszczycić tylko taką skromną szpadą. Przyjęto go jednak z należytym ceremoniałem, gdy przechodził przez burtę „Hibernii” za dworna kapitanami w lamowanych złotem mundurach, z epoletami na obu ramionach, którzy widocznie mieli być członkami sądu. Na zawietrznej stronie pokładu rufowego dostrzegł przelotnie Meadowsa i Busha, chodzących tam i z powrotem i pochłoniętych rozmową, lecz idący przodem midszypmen powiódł go dalej. Był to dowód (jeśli taki był potrzebny), że Hornblower został wezwany na życzenie sądu jako świadek-ekspert i że musiał być trzymany z dala od pozwanych dla zapobieżenia ewentualnej znowie lub uprzedzeniu.

Dwadzieścia pięć minut po wystrzale z działa oznajmającym rozpoczęcie posiedzenia wezwano Hornblowera do dużej kajuty, gdzie za stołem pod oknem rufowym lśniły mundury siedmiu kapitanów. Z boku siedzieli Meadows i Bush oraz nawigator Prowse i bosman Wise. Przykry, żaloszny i krępujący był widok niepokoju malującego się na ich twarzach.

— Kapitanie Hornblower, Sąd pragnie zadać panu kilka pytań — powiedział mężczyzna siedzący pośrodku za stołem. — Potem pozwani mogą się zwrócić do pana o wyjaśnienia w związku z pańskimi odpowiedziami.

— Tak, sir — odparł Hornblower.

— Przekazał pan dowództwo nad słupem „Hotspur” przed południem siedemnastego, czy tak?

— Tak, sir.

— Czy okręt był w dobrym stanie?

— Niezłym, sir. — Musiał mówić prawdę.

— Mówiąc to ma pan na myśli stan dobry czy zły?

— Dobry, sir.

— Czy na podstawie dostarczanych informacji mógł pan stwierdzić, że wykres dewiacji kompasu był prawidłowy?

— Tak, sir. — Nie mógłby chyba przyznać się do jakiegokolwiek zaniedbania w tym względzie.

— Słyszał pan, że slup JKM „Hotspur” osiadł z falą pływową na mieliźnie na Czarnej Skale. Ma pan, kapitanie, jakieś uwagi w tej sprawie?

Hornblower zacisnął zęby.

— To się mogło łatwo zdarzyć.

— Kapitanie, może zechce pan łaskawie bliżej naświetlić to stwierdzenie?

Hornblower mógł dużo powiedzieć, ale musiał uważać, jak mówi. Nie powinien zbyt się rozwodzić. Musi położyć cały niezbędny nacisk na trudności nawigacyjne, lecz nie wolno mu przy tym podkreślać, że sam tak długo je omijał. Musi zrobić dla pozwanych co się da, uważając jednak, żeby nie przesadzić. W każdym razie mógł poczynić pewne oczywiste uwagi, które rzut oka na zapisy w dzienniku okrętowym od razu by potwierdził. Powiedział więc, że wiatr zachodni, wiejący ciągle przez kilka poprzednich dni, przeszedł nagle tamtego popołudnia w silny wiatr od wschodu. W tych warunkach pływ mógł być nieoczekiwanie gwałtowny. Równocześnie między skałami mógł powstać zakłócający przeciwny prąd i pokrzyżować wszelkie obliczenia, tak że prąd mógł być się odwrócić na przestrzeni jednego kabla. Z Czarnej Skały sterczy w kierunku południowo-wschodnim długa rafa, na której — z wyjątkiem samego jej wierzchołka — fale przyboju są widoczne tylko przy niskiej wodzie pływów syzygijnych, a sondowanie nie ostrzega przed tym. Nie ma więc w tym nic szczególnego, że okręt trzymający się blisko Goulet wpadł tam w pułapkę.

— Dziękuję, kapitanie — powiedział przewodniczący, gdy Hornblower skończył, i skierował wzrok ku pozwanym. — Panowie mają jakieś pytania?

Sposób, w jaki przewodniczący wypowiedział te słowa, wskazywały, iż według niego żadne pytania nie są tu potrzebne, ale Meadows podniósł się z miejsca. Wyglądał marnie. Może sprawiało to pożyczone ubranie, wpadnięte oczy i zapadłe policzki. Lewy drgał mu od czasu do czasu.

— Kapitanie — zaczął — wiatr był północno-wschodni i silny?

— Tak.

— Najlepsze warunki do wypadu dla Francuzów?

— Tak.

— Gdzie w tych warunkach była właściwa pozycja „Hotspura”?

— Możliwie jak najbliżej Goulet.

To był dobry punkt i trzeba go było uwydatnić.

— Dziękuję, kapitanie — powiedział Meadows siadając, a Hornblower spojrzeniem zapytał przewodniczącego, czy może odejść.

Jednakże pytanie Meadowsa pociągnęło za sobą następne.

— Kapitanie — zwrócił się przewodniczący do Hornblowera — proszę powiedzieć sądowi, jak długo dowodził pan „Hotspurem” w służbie blokadowej?

— Nieco ponad dwa lata, sir. — Tak właśnie trzeba było odpowiedzieć.

— Przez jaką część tego okresu pływał pan w pobliżu Goulet? Wystarczy podać w przybliżeniu.

— Chyba przez połowę... jedną trzecią tego czasu.

— Dziękuję, kapitanie. — Pytanie to miało w znacznej mierze na celu podważenie argumentu podniesionego przez Meadowsa. — Teraz może pan odejść, kapitanie Hornblower.

Miał możliwość rzucić spojrzenie na Busha i pozostałych, lecz musiało to być spojrzenie absolutnie obojętne. Nie wolno mu było wpływać na stosunek sądu do pozwanych przez okazywanie im współczucia. Skłonił się i wyszedł.

Rozdział IV

W niecałe pół godziny po powrocie Hornblowera na „Princess” Baddlestone otrzymał już wiadomość przekazaną sobie przez jednostki pomocnicze kołyszące się na fali w oczekiwaniu na wiatr.

— Winien — oznajmił, zwracając się do Hornblowera.

Był to jeden z tych momentów, w których Hornblower, ogromnie pragnąc okazać niewzruszoność, miał z tym największe trudności.

— Jaki wyrok? — spytał. Napięcie nadało jego głosowi ostry ton, który można było interpretować jako szorstką obojętność.

— Nagana — odrzekł Baddlestone. Hornblower poczuł, jak przepływa przez niego strumień ulgi.

— Jakiego rodzaju nagana?

— Po prostu nagana.

A więc nie surowa nagana. Po orzeczeniu „winien” jest to, poza upomnieniem, najłagodniejszy wyrok, jaki może ogłosić sąd wojenny. Lecz wobec straty „Hotspura” wszyscy jego oficerowie i podoficerowie będą musieli ubiegać się o ponowne zatrudnienie, a wtedy ludzie u władzy mogą wciąż mieć coś do powiedzenia. Jeśli tylko nie będą mściwi, nikt z tych z okrętu, z wyjątkiem może Meadowsa, nie musi się ich obawiać. Teraz dopiero Baddlestone łaskawie dodał do poprzedniej informacji coś, co — wcześniej powiedziane — oszczędziłoby Hornblowerowi niepokoju.

— Oczyszcili z zarzutów pierwszego oficera i nawigatora — rzekł.

Hornblower przyjął to w milczeniu, żeby nie zdradzić się ze swymi uczuciami.

Baddlestone przyłożył lunetę do oka, a Hornblower poszedł za jego wzrokiem. Fordewindem płynął ku nim barkas okrętowy pod dwoma rejkowymi żaglami. Hornblowerowi wystarczył jeden rzut oka, aby stwierdzić, że łódź należy do okrętu liniowego, a sądząc po jej długości, na ile to można było ocenić w skrócie perspektywicznym, była bardzo duża, najprawdopodobniej z trójpokładowca.

— Stawiam gwinee przeciwko szylingom — odezwał się Baddlestone, ciągle z lunetą przy oku — że przybędzie nam towarzystwa.

Hornblowera swędziały palce, żeby dostać w ręce lunetę.

— Tak — ciągnął Baddlestone — nie dając mu jej z bezwiednym być może okrucieństwem — na to mi wygląda.

Odwrócił się, żeby nakazać wywieszenie odbijaczy na prawej burcie i ustawienie barki pod wiatr, żeby choć trochę osłonić tę burtę. A potem luneta stała się zbyt cenna. Gołym okiem zobaczył Hornblower Busha siedzącego z odkrytą głową na ławce rufowej, a obok niego Meadowsa. Na dalszej ławce, bliżej dziobu, widział podoficerów z byłego „Hotspura”, a jeszcze dalej za nimi zbitą grupkę postaci, których nie potrafił rozpoznać.

Barkas ustawił się ostrzej pod wiatr i zgrabnie podszedł do burty.

— Łódź ahoy! — zawołał Baddlestone.

— Grupa z papierami na przejazd — odkrzyknął Bush. — Przybywamy na pokład.

Przez sekundę czy dwie Baddlestone bełkotał coś, wściekły za nie dodanie „za pańskim pozwoleniem”, ale barkas już zahaczył się bosakiem. Od razu stało się widoczne, jak gwałtownie kołysze się „Princess”, bo w porównaniu z nią łódź stała całkiem spokojnie. Minęła chwila, zanim Meadows przeszedł na pokład barki, i następna, nim Bush zjawił się za jego plecami. Hornblower ruszył spiesznie w stronę dziobu, żeby ich przywitać. Było rzeczą jasną, że wobec utraty „Hotspura” oficerów odsyła się do Anglii w celu zatrudnienia ich gdzie indziej, natomiast załoga została najwidoczniej rozdzielona między jednostki eskadry.

Z trudem przyszło Hornblowerowi zwrócić się najpierw do Meadowsa.

— Cieszę się, kapitanie Meadows, że znowu pana widzę — rzekł. — I pana także, panie Bush.

Bush uśmiechnął się do niego półgębkiem, a Meadows wcale — wisiał nad nim cień nagany. Baddlestone obserwował ich spotkanie z cynicznym rozbawieniem wyraźnie malującym się na jego pucułowatym, czerwonym obliczu.

— Może panowie raczą okazać mi swoje patenty — rzekł.

Bush wsunął rękę do kieszeni na piersiach i wyjął zwitek papierów.

— Czternaście, może pan policzyć — odparł. — A to są zwykli marynarze, za których nie odpowiadam.

— Będzie wam dosyć ciasno — zauważył Baddlestone. — Posiłki w kajucie gwinea dziennie, mogą też panowie zapłacić łącznie trzy gwinee za cały przejazd.

Meadows włączył się do rozmowy nie słowem, lecz gestem. Odwrócił ponure spojrzenie i obejrzał się. Na pokład zaczęli przybywać podoficerowie: nawigator Prowse, Cargill i inni podoficerowie pokładowi, intendent Huffnell, bosman, żaglomistrz, cieśla, bednarz i kucharz. Za nimi szli zwykli marynarze. Jeden z nich — chyba sternik łodzi Meadowsa — odwrócił się, żeby pomóc następnemu we wchodzeniu na pokład, co, jak się okazało, było rzeczą konieczną, bo ten człowiek miał obciętą dłoń, pewnie w którymś z rozlicznych wypadków, jakie zdarzały się na okrętach, a na jakie bywały narażone załogi floty blokadowej. Potem przybyło jeszcze kilku marynarzy, co do których trudno było tak od razu odgadnąć, czemu wracają do Anglii. Większość z nich pewnie miała silną przepuklinę kwalifikującą do zwolnienia ze służby. Mogło być też ze dwóch z przymusowej, bezprawnej branki, mających w kraju wpływowych przyjaciół, będących w stanie uzyskać dla nich wolność. W sumie spora grupa przybyła na pokład „Princess”, sprawiając, że zrobiło się tłoczno. A tymczasem łódź odbiła i pod lugrowymi żaglami, napiętymi sztywno jak deski, odpłynęła w długą drogę powrotną do okrętu flagowego.

Baddlestone poszedł za spojrzeniem Meadowsa i przebiegł wzrokiem po przybyłej gromadzie, a Meadows gestem dłoni podkreślił swe wcześniejsze spojrzenie. Hornblowerowi przypomniał się ów legendarny dowódca okrętu wojennego, który, spytany o upoważnienie do jakiejś akcji bojowej, wskazał na swoje działa mówiąc: „Tam”.

— Zgodnie z warunkami umowy ma pan żywić marynarzy za sześć pensów dziennie — oznajmił Meadows. — W tej podróży będzie pan karmił oficerów po tej samej stawce i ani pensa więcej.

— Czy to piractwo? — wykrzyknął Baddlestone.

— Może pan to nazwać, jak pan chce — odrzekł Meadows.

Baddlestone cofnął się o krok lub dwa i tocząc wzrokiem szukał daremnie pociechy na niebie i morzu, bo najbliższa jednostka znajdowała się w odległości kilku kabli. Twarz Meadowsa miała wciąż ten sam wyraz, ponury i zamknięty. Niezależnie od formy nagany widać było, że mocno ją odczuł. Uznawszy się za człowieka bez przyszłości mógł wcale nie dbać o ewentualne oskarżenie o bunt, jakie Baddlestone mógłby wnieść przeciwko niemu. Oficerów osłaniał jego autorytet. Zresztą po zatonięciu „Hotspura” stracili przecież wszystko, co posiadali, a do tego zdawali sobie sprawę, że z tamtą chwilą przeszli na połowę pensji. Mogliby stać się niebezpieczni, a marynarze usłuchaliby ich bez wahania. Poza Baddlestonem załoga „Princess” obejmowała sternika, kucharza, czterech marynarzy i chłopca okrętowego. W wypadku niemożności odwołania się do władzy wyższej szansę układały się absolutnie na ich niekorzyść, i Baddlestone wiedział o tym, chociaż jeszcze buntował się w słowach.

— Spotkamy się w porcie, panie kapitanie Meadows — powiedział.

— Kapitan Hornblower płaci tę samą stawkę — dodał Meadows z niezachwianym spokojem.

— Zapłaciłem już moje trzy gwinee — przerwał Hornblower.

— To jeszcze lepiej. Czyli że... wpłacono już dwadzieścia sześć opłat sześciopensowych. Dobrze mówię, panie Baddlestone?

Rozdział V

Na „Princess” panowała ciasnota nie do wytrzymania. Tam, gdzie wisiał hamak Hornblowera, dodano ich jeszcze siedem, tak że każdy z ośmiu oficerów miał dla siebie nie więcej miejsca, niż miałby w trumnie. Stłoczeni niemalże do ostateczności, nie tworzyli jednak zupełnie zbitej masy. Dla każdego zostawało jeszcze tyle luzu, że przy skokach i przechyłach „Princess” zderzał się co sekundę lub dwie z sąsiadem albo irytująco walił ciałem o grodzie. Hornblower w dolnym rzędzie hamaków (wybrany przez rozum, żeby uniknąć zatrującego powietrza w górze) nad sobą miał Meadowsa, z jednego boku grodzie, a z drugiego Busha. Chwilami napór trzech ciał z lewej strony przyciskał go do grodzi, to znów on sam leciał w przeciwnym kierunku na Busha, uderzając go w żebra; niekiedy gniótł go od dołu podnoszący się pokład, a czasem przyciskał od góry Meadows swoim ciężkim ciałem — Meadows był o cal albo dwa dłuższy od kajuty i w hamaku musiał leżeć z kręgosłupem wygiętym w dół. W swym niespokojnym umyśle Hornblower wydedukował sobie, że te ostatnie zetknięcia świadczą, jak ciężko pracuje kadłub „Princess” — przy przechyłach poprzecznych kajuta zmieniała kształt, malejąc na wysokość o cal lub dwa, czego potwierdzeniem były rozlegające się wokół trzaski i skrzypienia. Na długo przed północą Hornblower z trudem wygramolił się z hamaka i posuwając się wężowym ruchem na plecach pod dolnym rzędem wypełził na zewnątrz kajuty, gdzie czystsze powietrze rozwiało mu poły koszuli nocnej.

Po pierwszej nocy zdrowy rozsądek podyktował inny system: pasażerowie, oficerowie i zwykli marynarze, wszyscy jednakowo, spali odtąd „dwuwachtowo”, cztery godziny w pomieszczeniu, a następne cztery przycupnięci w osłoniętych zakątkach pokładu. System ten obowiązywał wszystkich i w sposób naturalny, a także z konieczności został rozciągnięty na przygotowywanie i spożywanie posiłków oraz na wszelkie inne sfery działania. Nawet z tym wszystkim żywot na „Princess” nie należał do przyjemnych, bo pasażerowie fukali na siebie przy najłżejszej prowokacji, a kłopoty na znacznie większą skalę wisały na włosku, gdyż eksperci, od których roilo się na barce, krytykowali sposób prowadzenia jej przez Baddlestone[^]. Ciągłe bowiem utrzymywały się bryzy z kierunku pomiędzy północą i wschodem, i „Princess” była znoszona w stronę zawietrzną w sposób doprowadzający do furii ludzi, którzy od miesięcy i lat nie widzieli ojczyzny czy rodzin. Taki wiatr niósł cudowną, rozslonecznioną pogodę, w Anglii mogło to oznaczać wspaniałe żniwa, tu natomiast stawało się źródłem rozdrażnienia. Wybuchały zażarte kłótnie między tymi, którzy uważali, że Baddlestone powinien kierować się na zachód, na Atlantyk i tam szukać pomyślniej szych wiatrów, a resztą, jeszcze na tyle cierpliwą, żeby zalecać halsowanie w rejonie, gdzie się znajdowali — lecz obie szkoły skłonne były uznać zgodnie, że można i należy poprawić trym żagli, sterowanie, kładzenie okrętu na kurs w ruchu i wybieranie halsu przy sztormowaniu na wiatr.

Nadzieja błysnęła nieśmiało pewnego dnia w południe. Dotąd przeżywano same rozczarowania, toteż mimo wszystkich poprzednich dyskusji nikt nie ośmielił się odezwać słowem,

gdy po okresie niewyczuwalnych prawie podmuchów od wschodu zerwał się wiatr nieco zwawszy, leciutko ku południu, a potem skręcił w lewo i nasilił się do tego stopnia, że można było zacząć wybierać szoty. Baddlestone wielkim głosem rzucał załodze rozkazy, a "Princess", zamiast jak przedtem przewalać się bezwolnie z burty na burtę, wyraźnie ruszyła naprzód, sunąc niezdarnie po falach niby zaprzężony do wozu koń, usiłujący galopować po świeżo zaoranym polu.

— Jaki, waszym zdaniem, ma kurs? — spytał Hornblower.

— Północno-wschodni, sir — powiedział wahająco Bush, lecz Prowse, ze swoim wrodzonym pesymizmem, pokręcił przecząco głową.

— Północno-wschodni ku wschodowi, sir — oświadczył.

— W każdym razie lekko na północ — zgodził się Hornblower.

Taki kurs nie przybliżał ich do Plymouth, ale mógł dać większą szansę złapania pomyślnego powiewu zachodniego za ujściem Kanału.

— Porządnie ją znosi na zawietrzną — zauważył posepnie Prowse, przenosząc wzrok z postawionych żagli na ledwie dostrzegalny ślad torowy.

— Zawsze zostaje nadzieja — powiedział Hornblower. — Spójrzcie na zbierające się chmury. Od wielu dni nie widzieliśmy czegoś takiego.

— Nadzieja mało kosztuje, sir — mruknął ponuro Prowse.

Hornblower popatrzył na Meadowsa stojącego przy grotmaszcie. Stał tam wciąż z tym samym wyrazem smutku na twarzy, samotny pośród ludzi, ale nawet jego coś pchało do uważnego obserwowania śladu torowego, trymu żagli i steru. Dopiero pod spojrzeniem Hornblowera zwrócił wzrok ku towarzyszom, lecz wydawało się, że ich nie widzi.

— Dałbym dużo, żeby wiedzieć, jak się zachowuje barometr, sir — odezwał się Bush. — Może spada, sir.

— Nie byłbym zdziwiony — odparł Hornblower.

Z całą ostrością wróciło wspomnienie, jak płynęli do zatoki Tor wśród wycia wichury. Maria jest w Plymouth, a ich drugie dziecko w drodze na świat.

Prowse odkaszlnął. Mówił z oporem, bo to co miał do powiedzenia, nie było pocieszające.

— Wiatr dalej skręca w prawo, sir — wydusił wreszcie.

— I chyba też trochę się nasila — dodał Hornblower. — Może z tego coś być.

Na tych szerokościach geograficznych o tej porze roku można się było spodziewać burzliwej pogody, gdy wiatr skręcał w prawo, zamiast w lewo albo z kierunku północno-wschodniego

przechodził na południowy, kiedy się nasilał, jak bez wątpienia teraz i kiedy zbierały się czarne chmury, jak w tej chwili. Podoficer pokładowy robił właśnie zapis na tabliczce kursowej.

— Jaki mamy kurs? — spytał Hornblower.

— Północ do wschodu pół rumba północ.

— Potrzebny nam tylko jeszcze jeden rumb albo dwa — zauważył Bush.

— Tak czy owak musimy mijać Ushant w dużej odległości — rzekł Prowse.

Nawet płynąc tym kursem zmniejszali faktycznie odległość między statkiem i Plymouth. Nieistotny był sposób, w jaki to się działo — sama myśl była pocieszająca. Widnokrąg kurczył się nieco wraz ze spadkiem widoczności. Jeden czy dwa statki wciąż były w polu widzenia, w kierunku wschodnim, bo żadnego nie znosiło tak mocno ku brzegowi zawietrznemu jak „Princess”. Fakt, że mimo bliskości Floty Kanału widzieli tylko pojedyncze jednostki, świadczył o bezmiarze przestworzy oceanu.

Nadleciał znacznie silniejszy podmuch, przechylając „Princess” na burtę zawietrzną. Ludzie, wraz z ruchomymi przedmiotami, polecili lawiną po pokładzie, aż sternik pozwolił statkowi odpaść o rumb od wiatru.

— Steruje się nią, jakby to była dwukółka do przewozu piwa — zauważył Bush.

— Albo drewniana balia — dorzucił Hornblower. — Jednakowo kiwa się na burty i na dziób.

Sytuacja poprawiła się, gdy wiatr jeszcze mocniej skręcił w prawo, a potem nadszedł moment, gdy Bush klasnął w dłonie.

— Idziemy fordewindem o rumb spoza trawersu! — wykrzyknął.

Znaczyło to ogromnie wiele. To mianowicie, że nie halsują, na czym tyleż można stracić co zyskać. Że suną prosto na Plymouth, na tyle prosto, na ile wskazywały obliczenia Baddlestone'a. Jeśli są prawidłowe, to znos stał się teraz źródłem korzyści, a nie straty. Oznaczało to, że „Princess” dostała wiatr lekko z rufy, najkorzystniejszy z całą pewnością z punktu widzenia jej kształtu. Znaczyło to, że nareszcie oddalają się od brzegów Francji. Wkrótce wejdą głębiej w wylot Kanału i będą wtedy mieli dużą swobodę działania. I jeszcze jedna rzecz zasługująca na ponowne podkreślenie: płynęli pełnym wiatrem, a to była fantastyczna, bajeczna wprost odmiana dla ludzi, którzy przez tak długi czas mieli tylko jedną, przygnębiającą alternatywę: dryfować albo pchać się pod wiatr.

Ktoś obok odezwał się głośniejsze. Hornblower zorientował się, że ten człowiek nie obwołuje żadnej jednostki ani się z nikim nie kłóci, tylko wyśpiewuje: „Z Ushantu do Scilly[8] jest trzydzieści pięć lig[9]” — zadając sobie niezrozumiały, bezsensowny trud dla samej niepojętej przyjemności śpiewania[10]. Odległość była właśnie taka, i Hornblower pomyślał, że może ich obecna sytuacja usprawiedliwia takie wydzieranie się pełną piersią. Ze stoicką cierpliwością słuchał, gdy inni dołączyli, wyśpiewując: „Żegnajcie i adieu, hiszpańskie damulki”. Ciekawa rzecz, atmosfera na

„Princess” zmieniała się, i w przenośni, i faktycznie. Nastroje rosły wraz ze spadkiem barometru. Widać było uśmiechy, szerokie szczerzenie zębów. Po skręcie wiatru w prawo o następne dwa rumby zarysowała się wyraźna możliwość, że wieczorem następnego dnia będą w Plymouth. Jak gdyby zaraziwszy się od załogi, „Princess” zaczęła podskakiwać na falach. W jej niezgrabnych ruchach było coś prawie nieprzyzwoitego, jakby tęgawa starsza pani fikała nogami, próbując tańczyć po pijanemu.

Lecz Meadows nie brał udziału w ogólnej wesołości i podnieceniu. Stał samotny i przygnębiony. Nawet dwaj oficerowie, którzy na „Hotspurze” byli po nim najstarsi rangą — jego pierwszy oficer i nawigator — gawędzili z Hornblowerem, zamiast dotrzymywać towarzystwa jemu. Hornblower ruszył ku niemu, ale w tym momencie na „Princess” spadł niespodziewany szkwał deszczowy, powodując nagle zamieszanie. Słabsi duchem biegli na dziób i rufę w poszukiwaniu schronienia.

— Jutro Plymouth, sir — zagał Hornblower rozmowę podszedłszy do Meadowsa.

— Bez wątpienia, sir — odparł Meadows.

— Chyba nieźle nam powieje — ciągnął Hornblower spoglądając w górę na strugi deszczu. Wiedział, że przesadza z lekkim tonem, jakim starał się mówić, ale tak mu to jakoś wyszło.

— Może — powiedział Meadows.

— Pewnie będziemy musieli zmienić kurs na zatokę Tor — dodał Hornblower.

— Bardzo możliwe — zgodził się Meadows. Niemniej z jego tonu dało się wyczuć, że jest mu to zupełnie obojętne.

Hornblower nie chciał jeszcze uznać się za pokonanego. Próbując ciągnąć rozmowę uważał, że zachowuje się dość wielkodusznie — nawet całkiem wielkodusznie — stojąc tu i moknąc do suchej nitki, żeby ulżyć innemu człowiekowi w jego zmartwieniu. Zrobiło mu się nieco lżej, kiedy szkwał przesunął się nad zawietrzną burtą „Princess”, lecz znacznie większą ulgę poczuł, gdy któryś z marynarzy na dziobie wrzasnął na cały głos:

— Widzę żagiel! Dwa rumby po nawietrznej od dziobu!

Meadows na tyle przemógł apatię, że idąc za wzrokiem Hornblowera popatrzył nad dziobem we wskazanym kierunku. Chwilowe przejaśnienie pozwoliło stwierdzić, że w tym momencie zaoczenia statek znajduje się na linii widnokręgu, nie dalej niż pięć-sześć mil od „Princess”, jest dobrze widoczny i płynie bejdewindem na lewym halsie z prawej strony dziobu barki, kursem, na którym za godzinę najpewniej przetnie jej kurs.

— Bryg — odezwał się Hornblower — czyniąc tę oczywistą uwagę dla podtrzymania rozmowy, lecz nic więcej nie powiedział, tylko wzrokiem rejestrował inne dające się dostrzec szczegóły.

Jednakowe rozmiary fokmasztu i grotmasztu, białe lśnienie żagli, nawet coś w rozstawie tych masztów — wszystko to miało jakieś znaczenie, niosło jakąś groźbę. Hornblower poczuł, że dłoń Meadowsa zaciska się na jego ramieniu jak żelazny pierścień

— Francuz! — orzekł Meadows dodając wiązaną przekleństw.

— Całkiem możliwe — zgodził się Hornblower.

Rozstaw rei dawał prawie pewność, że to okręt wojenny, ale i wówczas istniała duża szansa, że to jednostka brytyjska, jeden z niezliczonych przyzów zabranych Francuzom i włączonych do Brytyjskiej Floty Wojennej tak niedawno, że zdążył przejść tylko drobną przeróbkę.

— Nie podoba mi się jego wygląd! — dodał Meadows.

— Gdzie Baddlestone? — zawołał Hornblower i odwrócił się, żeby popatrzeć na rufę.

Wyrwał ramię z uścisku dłoni Meadowsa, zobaczywszy Baddestone'a, który przybył właśnie na pokład i kierował lunetę na bryg. Obaj naraz ruszyli w jego stronę!

— Niech cię diabli, zawracaj! — ryknął Meadows, ale w tej samej sekundzie Baddestone zaczął rzucać rozkazy. Nastąpiła chwila niesamowitego, bardzo groźnego zamieszania, gdy beczynni dotąd pasażerowie ruszyli pomagać. Lecz wszyscy byli wyszkolonymi marynarzami. Wybierając szoty przy gwałtownym naporze wiatru wychylono jednocześnie ster. „Princess” dosyć sprawnie wykonała zwrot przez sztag. Ogromne żagle lugrowe załopotwały potężnie przez chwilę po zluźnieniu szotów, a potem statek położył się w bejdewind przeciwnego halsu. W trakcie tej operacji wzniosł się na moment na fali i Hornblower, z oczyma wciąż utkwionymi w bryg, zobaczył, że podniesiony na fali, przechylił się równocześnie na przeciwległą burtę. Przez pół sekundy — wystarczająco długo — Hornblower oglądał rząd furt strzelniczych ostatecznie świadczących, że to okręt wojenny.

Teraz „Princess” i bryg sunęły bejdewindem na tym samym halsie, z tym że bryg szedł za rufą „Princess”. Mimo zalet suchego ożaglowania bystre oko mogło dostrzec, że „Princess” trochę bardziej odpada od wiatru niż bryg. Była znacznie trudniejsza do manewrowania i dużo wolniejsza — bryg wyprzedzi ją i minie po nawietrznej. Obliczając odległość wzrokiem Hornblower uznał, że wejście „Princess” prosto w rozdziawioną paszczę brygu to kwestia godzin, a jeżeli wiatr wykręci jeszcze bardziej w prawo, proces ten ulegnie odpowiedniemu przyśpieszeniu.

— Wybrać szot fokżagla — rozkazał Meadows, lecz zanim marynarze, do których się zwrócił, zdążyli wykonać polecenie, powstrzymał ich głos Baddestone'a.

— Nie wybierać! — krzyknął, po czym zwrócił się do Meadowsa: — Ja dowodzę tym statkiem. A pan niech się nie miesza!

Baryłkowaty dowódca, z rękami wojowniczo wpartymi w biodra, zuchwałym wzrokiem napotkał spojrzenie Meadowsa. Ten zaś powiedział do Hornblowera:

— Kapitanie Hornblower, czy musimy to znosić?

— Tak — odparł Hornblower.

Tak to wyglądało od strony prawa. Będąc ludźmi zaprawionymi w boju, oficerami marynarki wojennej, pozostawali mimo to jedynie pasażerami pod rozkazami dowódcy statku. Zasada ta obowiązywałaby, nawet gdyby doszło do bitwy. Prawo wojenne upoważniało jednostki handlowe do samoobrony, a wobec tego ich dowódcy kierowali nimi w bitwie tak samo jak przy zmianie halsu, ustalaniu kursu czy w każdej innej sprawie związanej z prowadzeniem statku.

— Niech to diabli — rzekł Meadows.

Hornblower nie odpowiedziałby może tak krótko i dobitnie, gdyby jego czujny umysł nie zauważył pewnego szczególnego zjawiska. Na moment przed rzuceniem rozkazu przez Meadowsa obserwował pilnie położenie dwóch dużych żagli lugrowych względem siebie. Ustawione były pod kątami różniącymi się nieznacznie i niedostrzegalnie dla niedoświadczonego oka. Analiza tego skomplikowanego — a tak bardzo interesującego — problemu z dziedziny mechaniki sugerowała wyraźnie, że ustawienie było prawidłowe. Najlepszy wynik uzyskiwało się właśnie, gdy jeden żagiel nieznacznie nakierowywał wiatr na drugi. Hornblower był obeznany z tym fascynującym zagadnieniem, już gdy jako midszypmen sprawował pieczę nad okrętową łodzią. Meadows musiał o tym zapomnieć albo nigdy się tego nie uczył. Jego rozkaz spowodowałby pewne zmniejszenie prędkości. Można było oczekiwać, że Baddlestone wie, jak wyduszać maksimum z jednostki, którą długo dowodził, w dodatku pływającej pod ożaglowaniem, z jakim miał do czynienia przez całe życie.

— Widzę ich banderę — powiedział Baddlestone. — Francuzik, rzecz jasna.

— Jeden z tych ich nowych, szybkich brygów — dorzucił Hornblower. — Nazywają je „bricks”. Warte dwóch naszych.

— Zamierza pan podjąć z nim walkę? — spytał Meadows.

— Zamierzam płynąć, jak długo się da — odparł Baddlestone.

Była to oczywiście jedyna rzecz, jaką można było zrobić.

— Do zmroku zostało dwie godziny. Koło trzech — wtrącił Hornblower. — Może uda nam się uciec w szkwale deszczowym.

— Jak już zbliży się do nas... — zaczął Baddlestone i urwał. Strzelając z bliskiego zasięgu francuskie działa mogą roznieść „Princess” na drzazgi. Na zatłoczonym stateczku masakra byłaby straszliwa.

Wszyscy trzej obrócili spojrzenia na bryg. Zbliżył się już do nich wyraźnie, a mimo to...

— Będzie dobrze ciemno, zanim podejdzie w zasięg — powiedział Hornblower. — Mamy szansę.

— Niewielką — mruknął Meadows. — O Boże...

— Myśli pan, że chcę zginąć we francuskich kazamatach? — wybuchnął Baddlestone. — Ta barka to wszystko, co mam. Żona i dzieci pomarłyby z głodu.

A co z Marią, co z jednym dzieckiem już urodzonym i drugim w drodze? I... i... co z przyrzeczoną awansem? Kto ruszy palcem w sprawie zapomnianego niedoszedłego kapitana we francuskiej niewoli?

Meadows szalał, wyrzucając z siebie stek bezsensownych przekleństw i plugawych słów.

— Jest tu nas trzydziestu — zaczął Hornblower. — A oni będą myśleli, że nie więcej niż pół tuzina...

— Na Boga, moglibyśmy wziąć go abordażem! — wykrzyknął Meadows, nagle przerywając potok przekleństw.

Czy mogliby? Czy udałoby się im podejść do burty? Żaden francuski dowódca przy zdrowych zmysłach nie dopuściłby do tego, nie zaryzykowałby uszkodzenia swej cennej jednostki przy tak silnym wietrze, jaki właśnie wiał. Obrót sterem w ostatniej minucie, rozkaz „ster na wiatr” wydany w ostatniej chwili — i „Princess” otrze się o bryg. Salwa kartaczami — i zostanie z niej wrak. Ponadto sama próba zbliżenia stanie się ostrzeżeniem — kapitan francuski ze swą załogą może przewidzieć kłopoty. Bryg ma pewnie załogę złożoną z co najmniej dziewięćdziesięciu ludzi, a najprawdopodobniej liczniejszą. Jeśli zaskoczenie nie będzie kompletne, trzydziestka nie ma szans przeciwko nim. Żywa wyobraźnia Hornblowera już rysowała obraz „Princess” przy burcie brygu, jeśli przy największym szczęściu udałoby się jej w ogóle podejść, kiwającej się jak szalona z burty na burtę. Nie byłoby mowy o błyskawicznym natarciu — trzydziestu napastników musiałoby się wdzierać na bryg po dwóch albo trzech bez widoków powodzenia. Chyba żeby się udało całkowite, kompletne zaskoczenie.

Z takimi myślami kłębiącymi mu się pod czaszką przenosił wzrok z Baddlestone'a na Meadowsa obserwując, jak na ich twarzach chwilowe podniecenie ustępuje niepewności i zwątpieniu. A że w tym momencie pomyślał o sprawie wymagającej natychmiastowej interwencji, bez pytania odwrócił się i krzyknął, najgłośniej i najprzenikliwiej jak potrafił, do grupki na pokładzie:

— Zejść z widoku, wszyscy co do jednego! Żeby mi żadnego z was nie było widać! Zejść z widoku pod pokład!

Odwrócił się z powrotem do Baddlestone'a i Meadowsa mierzących go lodowatymi spojrzeniami.

— Pomyślałem, że lepiej nie zdradzać się z tym, co mamy na rękę, póki nie rozegramy naszej partii — wyjaśnił. — Niedługo z brygu będą mogli zobaczyć przez lunetę, że pełno tu ludzi, a lepiej, żeby tego nie widzieli.

— Jestem tu najstarszy rangą — syknął Meadows. — Jeżeli ktokolwiek ma wydawać rozkazy, to ja.

— Sir... — zaczął Hornblower.

— Jestem mianowanym kapitanem od maja tysiąc osiemsetnego — ciągnął Meadows. — A pana nie było jeszcze w "Gazette". Nie czytał tam pan o sobie.

To był mocny argument, rozstrzygający. Nieformalne kapitaństwo Hornblowera datowało się zaledwie od kwietnia 1803 roku.

Dopóki przyrzeczona ranga kapitana nie zostanie oficjalnie zatwierdzona, musi podporządkowywać się rozkazom Meadowsa. To był jego pech. Uprzednie próby uprzejmego nawiązania rozmowy z Meadowsem musiały zrobić na nim wrażenie uniżonych zabiegów o łaskawość, a nie wspaniałomyślnego zniżania się do rozmówcy, jak sądził Hornblower. Był zły, że wcześniej nie pomyślał o tym wszystkim, ale ta złość była niczym w porównaniu z uczuciem płynącym z uświadomienia sobie, że jest znów młodszym rangą oficerem, upoważnionym do podsuwania rad, lecz nie do wydawania rozkazów — i to po dwóch latach praktycznie samodzielnego dowodzenia. Trzeba było przełknąć tę pigułkę. Rzecz dziwna, w momencie gdy ta metafora przemknęła mu przez głowę, faktycznie z trudem przełykał ślinę, opanowując irytację. Ten zbieg okoliczności odwrócił jego uwagę, pozwalając zdławić gniewną ripostę wiszącą mu na końcu języka. Wszyscy trzej byli napięci, bliscy wybuchu. Kłótnia między nimi mogłaby stać się najkrótszą drogą do francuskiego więzienia.

— Oczywiście, sir — powiedział Hornblower i ciągnął dalej (jeśli coś warto robić, to trzeba zrobić to dobrze): — muszę prosić pana o wybaczenie. Było to naprawdę bezmyślne z mojej strony.

— Tłumaczenie przyjęte — odrzekł Meadows z lekkim tylko tonem urazy.

Zmiana tematu przyszła dosyć łatwo — Hornblower obrócił spojrzenie na bryg, a obaj pozostali poszli za jego wzrokiem.

— Niech ich diabli, wciąż zyskują w kierunku na wiatr! — zaklął Baddlestone. — A do tego zachodzą nas od nawietrznej.

Bryg zbliżył się niewątpliwie, ale zamiar pozostawał bez zmiany. Pościg zakończy się podejściem francuza do „Princess” bez zmieniania kursu — wściekało ich, że wszelkie ich działanie mogłoby jedynie przyspieszyć pościg.

— Nie wywiesiliśmy bandery — zauważył Meadows.

— Jeszcze nie — odparł Baddlestone.

Hornblower pochwycił i przytrzymał jego spojrzenie. Jakiegokolwiek słowa czy najlżejszy choćby ruch głową nie były wskazane, lecz to, co pragnął przekazać Baddlestone'owi, dotarło do niego, może drogą telepatii.

— Nie musimy jeszcze wciągać bandery — dodał Baddlestone. — To nam pozostawia wolną rękę.

Nie było potrzeby podejmowania choćby drobnej akcji, która związałaby im ręce. Było absolutną niemożliwością, żeby francuz wziął „Princess” za coś innego niż pomocniczą jednostkę floty, lecz mimo to... Sprawy inaczej wyglądają w raporcie czy nawet w dzienniku okrętowym. Jeśli francuz zmęczy się pościgiem lub odstąpi od niego z jakiejś innej przyczyny, warto zostawić mu furtkę na usprawiedliwienie się. Mógłby utrzymywać, że wziął „Princess” za jednostkę duńską lub bremeńską. A jak długo bandery nie wciągnięto na maszt i nie opuszczono, „Princess” mogła zadziałać w każdy możliwy dla niej sposób.

— Niedługo zrobi się ciemno — odezwał się Hornblower.

— Do tego czasu akurat zdąży nas dogonić — mruknął Meadows zniecierpliwionym głosem i jak zwykle stek plugawych przekleństw wypłynął z jego ust. — Zagnanych w ciemny kąt jak szczury.

To było dobre określenie. Zostali zapędzeni w kąt, osaczeni niewidzialną ścianą wiatru. Mogli się wycofać jedynie w kierunku brygu, a ten parł na nich nieubłaganie. Jeśli „Princess” była szczurem, to bryg człowiekiem kroczącym ku niemu z maczugą w rękę. A zapędzenie w kąt oznaczało, że nawet w ciemnościach nie byłoby miejsca na ucieczkę albo jakiś unikowy manewr. Mogliby jednak, jak szczur, zaatakować jeszcze prześladowcę z odwagą desperata.

— Szkoda — powiedział Meadows — że nie ruszyliśmy na nich, jak tylko ich zobaczyliśmy. A moja przeklęta szpada i pistolety są na dnie morza. Jaką broń ma pan na statku?

Baddlestone wyliczył żalostną zawartość skrzyni z uzbrojeniem. Nawet barki dowożące wodę do okrętów były wyposażone w kordelasy i pistolety dla obrony przed nieprzyjacielskimi łodziami wiosłowymi, które — jak wiadomo — wyskakiwały z francuskiego wybrzeża, porywając nie uzbrojone, przyzwyczajone ciszą morską.

— Możemy zdobyć jeszcze trochę — wtrącił Hornblower. — Z pewnością wyślą łódź z załogą przyciągającą. A w ciemnościach...

— Na Boga, pan ma słuszość! — zawołał Meadows i zwrócił się do Baddlestone'a. — Nie wciągać bandery! Wykaraskamy się z tego! Na Boga, dostaniemy ich!

— Możemy spróbować — zgodził się Baddlestone.

— I, na Boga, ja tu jestem najstarszym rangą oficerem marynarki wojennej! — dodał Meadows.

Marynarz wracający do Anglii w cieniu niesławy zrehabilitowałby się prawie automatycznie, gdyby przyprowadził ze sobą przyciągającą. Meadows mógłby wtedy znaleźć się przed Hornblowerem na liście kapitanów.

— Idziemy! — rzucił Meadows. — Niech wywołują załogę.

Podejmowali absolutnie szaleńcze, najbardziej brawurowe przedsięwzięcie, jakie można sobie wyobrazić, lecz byli w desperackiej sytuacji. Sam Hornblower zachowywał się jak desperat, mimo że, w zamieszaniu towarzyszącym przygotowaniom, mówił sobie, że jest pod rozkazami innych i może jedynie być tym rozkazom posłuszny. Nie poważył się nawet stwierdzić przed sobą samym, że

realizują plan obmyślony przez niego — według którego on sam by działał, nie bacząc na niebezpieczeństwo, gdyby to on dowodził barką.

Rozdział VI

„Princess” dryfowała w ciemnościach. Sam fakt stanięcia w dryfie mógł zostać uznany przez nieprzyjaciela za zgodę na poddanie się, chociaż w świetle prawa mogłoby to wyglądać inaczej. Z foksztagu barki mrugała zapalona latarnia, ustawiona w ten sposób, iż światło padało prosto w dół. Takie ustawienie dawało brygowi najmniej możliwości zaobserwowania, co się dzieje po rufowej stronie śródokręcia. A równocześnie ten maleńki punkcik światła wśród kompletnych ciemności pozostawał widoczny z brygu oddalonego o kabel, może półtora w kierunku zawietrznym, gdzie cztery rzucające jasny blask latarnie zawieszono na takielunku fokmasztu i grotmasztu brygu nie tylko ukazywały jego pozycję, lecz dostarczały światła potrzebnego do opuszczenia łodzi na wodę.

— Nadpływają — mruknął Meadows przykucnięty za burtą. — Pamiętajcie, biała broń.

Przy wiejącym akurat silnym wietrze zmieszane odgłosy ujdą nie zauważone przez bryg, lecz strzał niesiony z wiatrem byłby tam dosłyszany całkiem wyraźnie. Siedzący w kucki mężczyźni już dostrzegli w ciemnościach czarniejszy kształt podrzucany na fali, a po chwili dosłyszeli zgrzyt wiosła i rozmowę po francusku. Hornblower odczekał, aż zahaczyli się bosakiem, i wtedy rzucił im linę.

— Montez[11] — powiedział. Z wysiłkiem opanował głos, żeby nie zabrzmiał chrypliwie wskutek podniecenia. On jeden na barce miał białą twarz, pozostali pomalowali je sobie na czarno.

„Princess” podskakiwała na wzburzonym morzu równie żwawo jak zawsze. Minęło kilka sekund, zanim pierwszy Francuz z kordelasem i pistoletami — midszypmen przybywający, aby przejąć przyz — wszedł na pokład. Hornblower usłyszał głucho stuknięcie jego ciała padającego pod czyjś ciosem. Uprzątnięto je, zanim następny Francuz wskoczył na barkę. To samo było z kolejnym i jeszcze jednym. Wszystko było straszliwie, przerażająco łatwe dla ludzi zdecydowanych działać bez litości.

Ze swego dogodnego punktu obserwacyjnego Hornblower mógł tylko stwierdzić, że ostatni Francuz wszedł już na statek. Widział, że załoga łodzi przygotowuje się do podawania rzeczy załogi przyzowej.

— Już! — krzyknął ostro.

Meadows i przydzieleni mu marynarze przykucnięci w pogotowiu pod osłoną burty hurmem zwalili się do łodzi. Jakieś wiosło zaskrzypiało i zgrzytnęło. Hornblower słyszał uderzenia handszpaków o czaszki. Rozległ się tylko jeden zdumiony krzyk, i to było wszystko. Hornblower nie słyszał odgłosów wyrzucania za burtę trupów lub ogłuszonych, lecz wiedział, że to się właśnie odbywa.

— Mamy broni dla siedmiu — dobiegł głos Meadowsa. — Załoga łodzi do mnie. Hornblower, do dzieła.

Mieli dwie godziny na zorganizowanie ataku. Każdy wiedział, jaką rolę ma odegrać. Hornblower ruszył pędem ku rufie z grupą prawie niewidocznych postaci o czarnych twarzach, biegnących u jego boku. Na ich widok przypomniał sobie, żeby zanurzyć dłoń w przygotowanym cebrzyku z czarną farbą i przed następnym krokiem szybko przejechać nią po czole i policzkach. Przyciągnęli własną łódź holowaną za rufą i tłumnie rzucili się do niej.

— Cumy rzuć! — rozkazał Hornblower. Mocnym pociągnięciem wioseł lewoburtowych odsunęli się od statku. — Przestać wiosłować!

Czekając z dłonią na rumplu w łodzi pod rufą, Hornblower wbił wzrok w ciemność. Obsadzanie załogą łodzi z brygu zajęło więcej czasu. Dopiero teraz ruszyła w drogę powrotną do swojej jednostki. Gdy uniosła się na fali, Hornblower zobaczył jej sylwetkę na tle światła latarni brygu. Trzeba odczekać jeszcze kilka sekund. Jeśliby załoga brygu zobaczyła, że zamiast jednej łodzi wracają dwie, mogłaby wszcząć alarm.

Niedobrze się stało, że wszystkich z załogi francuskiej łodzi wyrzucono do morza. Czy był to konieczny krok wojenny, czy nie, Francuzi i tak będą utrzymywać, że ich zamordowano. Sami nie będą mieli litości dla nikogo z atakujących na pokładzie brygu, jeśliby atak się nie udał. Ma to być najbardziej desperacka walka w jego życiu — walka na śmierć i życie.

Łódź podchodziła do burty brygu wyraźnie widoczna w świetle latarni.

— Lewa burta mocniej wiosłować! — Łódka obróciła się pod silniejszym naciskiem wioseł. — Prawa burta mocniej!

Ruszyła, rumpel ożył pod dłonią Hornblowera. Ustalił kurs. Nie musiał apelować do wiosłarzy, żeby wiosłowali z całych sił, gdyż wszyscy zostali wtajemniczeni w szczegóły planu. Hornblower czytał gdzieś w historii Anglii o saksońskim superkrólu, którego, w dowód jego wyższości, wożono po rzece Dee z ośmioma pomniejszych królami u wioseł. W tej łodzi większość wiosłarzy to oficerowie — Bush siedział przy dziobowym wiosle prawej burty, sekundując wysiłkom bosmana Wise'a i chirurga Wallisa — oraz dwóch czy trzech podoficerów nawigacyjnych, a oficer nawigacyjny, intendent i oficer broni zostali rozmieszczeni na innych stanowiskach wiosłarskich i współpracowali ze zwykłymi marynarzami. Wypełniona ludźmi łódź siedziała nisko w wodzie, ale trzeba było zabrać wszystkich zdolnych do walki.

Kołysała się też na ciemnej wodzie z burty na burtę i z dziobu na rufę. Latarnie brygu były coraz bliżej. Nie dobiegł jeszcze stamtąd żaden niepokojący odgłos — czekają na powrót swej łodzi i zanim stanie pod burtą, nie będą niczego podejrzewali. Byłoby przesadą spodziewać się, że Meadowsowi uda się dobić spokojnie do burty i od razu przypuścić atak, lecz to rzecz teoretycznie możliwa.

Już. Odgłos strzału z pistoletu przyniesiony przez wiatr. Dalsze strzały. Ustalono, że ludzie Meadowsa użyją pistoletów natychmiast po dostaniu się na pokład. Było to konieczne dla przestraszenia i dezorientowania zaskoczonych Francuzów i wywołania wśród nich paniki. Zjawienie się na pokładzie dwudziestu ludzi walących z pistoletów na prawo i lewo mogło to łatwo spowodować.

— Przestać wiosłować! Bosakowy!

Łódź przysunęła się do burty brygu, pod podwzięcia fokmasztu, dokładnie po przeciwnej stronie miejsca walki grupy Meadowsa, skąd dobiegały rozdzierające wycia i jęki. Dwanaście rąk, w tym ręce Hornblowera, wyciągnęło się ku wantom. Cud, że łódź się nie wywróciła — w desperackich okolicznościach oficerowie zachowują się równie gorączkowo i nieprzytomnie jak młodzi marynarze.

— Naprzód! — ryknął Hornblower.

Do diabła z hierarchią służbową — tym ludziom niepotrzebny dowódca. Łódź stała się lżejsza, gdy grupa uczernionych twarzy uchwyciła się podwzięzi. Hornblower dostał się na pokład nie jako pierwszy, lecz piąty czy szósty. Nie było oporu, chociaż sporo postaci biegało po mdłą oświetlonym pokładzie.

Dotarli do luku w chwili, gdy z otworu wynurzyła się do pasa postać o białej twarzy. Jeden z czarnolicych machnął siekierą i Francuz z hukiem poleciał w dół.

Ktoś biegnąc wpadł z impetem na Hornblowera i odepchnął w bok, omal nie zwaliwszy go z nóg. Lecz pędzący Francuz nie był groźny w tej chwili. Jemu, jak i tuzinowi innych ogarniętych paniką, przerażonej gromadce ściganej przez dwóch machających kordelasami napastników z uczernionymi twarzami, chodziło tylko o to, żeby uciec i schronić się na dole w luku. Minęli Hornblowera, a wtedy on schylił się nad otworem łukowym i rąbnął z pistoletu w dół, w sam środek zbitej grupki uciekinierów. Był to chyba najskuteczniejszy sposób wykorzystania jedynej kuli, jaką miał, bo odstraszy innych Francuzów, by nie próbowali wydostać się na górę.

— Założyć pokrywę luku! — powiedział Hornblower. — Wise, zamocować ją porządnie! Panowie podoficerowie, zostajecie z Wisem. Reszta za mną.

Pognał w stronę rufy, z langerem o mosiężnej rękojeści w dłoni. Jakieś dwie czy trzy zdezorientowane postacie ruszyły ku nim. Miały białe twarze, więc je powalono — nie czas było na sentymenty. Nagle przypomniał sobie, że walce powinno towarzyszyć głośne wycie. Jeśli ci na rufie napotkali prawdziwy opór, to osłabnie on z pewnością na odgłos nieprzyjacielskich krzyków bitewnych na tyłach. Nagle ujrzał przed sobą prostokąt światła i wynurzającego się stamtąd mężczyznę w białej koszuli, białych spodniach i z białą twarzą, prawdopodobnie francuskiego dowódcę. Wychodząc z kajuty natknął się on na jakiegoś wielkoluda, który natarł na niego wywijając kordelasem. Hornblower widział, jak Francuz przyklęka i wysuwa ramię w klasycznym wypadzie, ten drugi zamachnął się kordelasem i obie postacie przesunęły się poza obręb światła.

Bitwa, jeśli można to było tak nazwać, dobiegała prawie końca. Francuzi, bez broni i kompletnie zaskoczeni, mogli tylko próbować ująć z życiem. Lecz każda postać mająca nie uczernioną twarz była ścigana po pokładzie i zarąbtywana bezlitośnie w szale walki, poza jedną grupą, która padła na pokład zebrząc o zmiłowanie — zabicie jednego czy dwóch spośród nich zaspokoilo żądzę krwi u napastników. Pozostałych przy życiu zapędzono w róg przy relingu rufowym. Hornblowerowi zdawało się, że kilku rzuciło się na takielunek, by się tam schronić — z tymi można będzie rozprawić się później.

Rozejrzał się po pokładzie. Do feerycznego oświetlenia pochodzącego od latarni kołyszących się w wantach dochodziło chwilami światło spoza drzwi kajuty, które to przymykały się, to otwierały w rytm przechyłów bocznych okrętu. Usłany trupami pokład wyglądał przerażająco, a zarazem groteskowo. Czyżby to ktoś zabity wracał do życia? Albo odzyskiwał przytomność? Jakieś ciało dźwigało się w górę, lecz w sposób, w jaki nikt żyjący nie dźwigałby się na nogi. Wszystko było możliwe w tym budzącym zgrozę otoczeniu. Ale nie! To trup, wypychany w górę od spodu. Musiał, padając, zasłonić sobą rufowy właz, i ci, co znajdowali się pod pokładem, usuwali go z drogi. Na oczach Hornblowera trup odtoczył się i spadł z głuchym odgłosem na pokład, a przez właz wysunęły się w górę dwie ręce. Hornblower skoczył, ciało szpada, i ręce znikły przy akompaniamencie wycia spod pokładu. Nasunął pokrywę, poszukał, gdzie jest śruba i zakręcił ją mocno. To zapewni spokój na jakiś czas.

Wyprostowawszy się stanął twarzą w twarz z kimś przybyłym na dziób, żeby podjąć te same środki ostrożności. Już, nie myśląc, zacisnął mocniej dłoń na rękojeści szpady — nie spodziewał się zobaczyć uczernionej twarzy tak blisko swojej.

— Załatwione. — Głos należał do Baddlestone'a, teraz Hornblower od razu rozpoznał jego sylwetkę.

— Gdzie Meadows? — wychrypiał przez gardło jeszcze suche z podniecenia.

— To beznadziejny pechowiec — odparł Baddlestone, czyniąc wskazujący gest.

Jakby w odpowiedzi drzwi kajuty znów się otwały, rzucając łuk światła na pokład i Hornblower już wiedział, co się stało. Z dala od włazu leżały dwa trupy. Jednym z nich musiał być Meadows. Leżał trochę na boku, ręce i nogi miał rozrzucone. Z jego piersi sterczała rękojeść rapiera. Właśnie jego ostrze, długie na dwie stopy, przesywszy ciało, utrzymywało je w tej pozycji. W czarnej twarzy lśniły białą zębami. Meadows musiał wyszczerzyć je w szale ataku. Chwiejne światło sprawiało, że jego wargi wciąż wyglądały, jakby wykrzywiała je wściekłość. Za nim leżał francuski kapitan w białej — teraz już nie całkiem — koszuli i bryczesach. Twarz i głowę miał straszliwie zmasakrowaną. Na pokładzie leżał kordelas, którym Meadows, już gdy rapier przeszył jego serce, zadał druzgocący cios w ostatnim zrywie swego potężnego ciała. Przed laty emigrant francuski udzielający Hornblowerowi lekcji fechtunku mawiał o *"coup des deux veuves"*[12], bezlitosnym ataku, po którym pozostawały dwie wdowy — tu miał tego przykład.

— Jakież rozkazy, sir? — to Bush przywoływał go do rzeczywistości.

— Proszę spytać kapitana Baddlestone'a — odparł Hornblower.

Działanie zgodnie z rutyną służbową mogłoby wygonić koszarne obrazy z jego mózgu. Lecz w tej samej chwili zdarzyło się coś, co mu przypomniało, że jest jeszcze sprawa, którą trzeba załatwić natychmiast. Tuż przy nim rozległ się trzask, a mocny wstrząs wyczuty przez podeszwy butów świadczył, że Francuzi pod pokładem próbują rozbić pokrywę włazu. Od dziobu dobiegł podobny odgłos, a za nim czyjeś wołanie.

— Kapitanie, sir! Chcą wywalić pokrywę luku!

— W chwili abordażu pod pokładem przebywała cała wachta wolna od służby — powiedział Baddlestone.

Oczywiście, to mogło się przyczynić do stosunkowo łatwego zwycięstwa — trzydziestu zbrojnych zaatakowało pięćdziesiątkę zaskoczonych i bez broni. Oznaczało to jednak, że pod pokładem znajduje się pięćdziesięciu — więcej, jeśli się wliczy marynarzy spoza wacht — którzy nie chcą się poddać.

— Bush, proszę udać się na dziób i załatwić ich — rzucił Hornblower. Dopiero po odejściu Busha złapał się na tym, że opuścił ważne słówko „panie”. Widać nerwy ma całkiem rozstrojone.

— Możemy z powodzeniem przetrzymać ich pod pokładem — powiedział Baddlestone.

Dla ludzi uwięzionych pod pokładem byłoby prawie niemożliwością wydostać się przez skutecznie strzeżony luk główny lub właz rufowy nawet po rozbiciu pokryw w drzazgi, co właśnie próbowali zrobić. Lecz nieustanne pilnowanie luków i jeńców przy relingu rufowym oraz jednoczesne zapewnienie nawigacyjnej obsady brygu i ”Princess” wymagało nie lada wysiłku.

Światło płatało dziwne sztuczki: koło sterowe, bez sternika, wydawało się samo obracać. Hornblower podszedł do niego. Jak można się było spodziewać, na jednostce stojącej w dryfie trudno je było ruszyć. Po chwili jednak zawirowało swobodnie.

— Tamci pod pokładem przecięli liny sterowe — zameldował Baddlestone'owi.

Uderzenie młotem spod pokładu w miejscu, gdzie stali obaj, sprawiło, że zaskoczeni, aż podskoczyli. Hornblower poczuł mrowienie w stopach.

— Co, u diaska?... — zaczął zdumionym głosem.

Nie zdążył jeszcze dać sam sobie odpowiedzi, gdy znowu rozległ się potężny odgłos ciosu w pokład od spodu. Spojrzawszy w dół Hornblower zobaczył małą plamkę światła kilka cali od swej prawej stopy. Była tam niewielka dziura z poszarpanymi brzegami.

— Chodźmy stąd! — rzucił do Baddlestone'a i cofnął się. — Wałą stamtąd z muszkietów!

Jednouncjowa kula z muszkietu wystrzelona z odległości cala, może dwóch, uderzywszy w pokład z siłą dwudziestu młotów kowalskich i przebiwszy go miałaby jeszcze niewątpliwie prędkość szczątkową dostateczną dla zgruchotania czyjejś nogi albo i obydwóch czy położenia kogoś trupem.

— Domyślili się, że ktoś stoi koło steru — powiedział Baddlestone.

Łomot i trzaski na dziobie świadczyły, że Francuzi zabrali się tam do wyłamywania pokrywy luku, a podobne odgłosy dały się też słyszeć od strony włazu małego luku na rufie. Wyglądało, że znaleźli gdzieś pod pokładem siekiere i zabrali się do dzieła przy jej pomocy.

— Niełatwo będzie doprowadzić bryg do kraju — zauważył Baddlestone. Z ruchu białek jego

oczu można było wywnioskować, że obrócił pytające spojrzenie na Hornblowera.

— Diabelnie trudno, jeśli się nie poddadzą — zgodził się Hornblower.

Często się zdarzało, że po błyskawicznym opanowaniu pokładu okrętu ci, co ocaleli pod pokładem, tracili ducha i poddawali się. Jeśli się jednak decydowali na opór, sytuacja stawała się skomplikowana, zwłaszcza gdy — tak jak teraz — przewyższali liczebnie napastników i byli dowodzeni przez kogoś energicznego i odważnego. Hornblower raz czy dwa stanął w obliczu takiej sytuacji, lecz nawet przy swej bujnej wyobraźni nie przewidział przestrzeliwania pokładu od dołu kulami muszkietowymi.

— Jeśli nawet wyjdziemy z dryfu i ruszymy — zaczął — to oni mają tam amortyzujące talie sterowe...

— ... i dadzą nam bobu — dokończył Baddlestone.

Przy sterze niezdatnym do użytku można było prowadzić okręt manipulując zręcznie żaglami, lecz pod pokładem znajdowały się amortyzujące talie sterowe i szóstka silnych mężczyzn mogła przy ich pomocy obracać ster, nie tylko udaremniając wysiłki tych na pokładzie, lecz faktycznie wystawiając okręt na niebezpieczeństwo wskutek możliwości doprowadzenia do niespodziewanego ustawienia go pod wiatr. — Będziemy musieli porzucić bryg — powiedział Hornblower. Była to niezwykle irytująca sugestia, toteż Baddlestone odpowiedział stekiem przekleństw nie ustępujących tym, jakie miotał martwy teraz Meadows.

— Na pewno ma pan słuszość — stwierdził w końcu. — Dziesięć tysięcy funtów! Wobec tego spalimy bryg... Podpalimy go przed opuszczeniem.

— Nie możemy tego uczynić! — odpowiedź wyrwała się Hornblowerowi z ust, zanim zdążył pomyśleć.

Ogień na drewnianej jednostce to najstraszniejszy z wrogów. Jeśli porzucą bryg z dobrze podłożonym ogniem, to żadne wysiłki ze strony pozostałych na nim Francuzów nie ugaszą płomieni. Pięćdziesięciu... sześćdziesięciu... siedemdziesięciu Francuzów upiecze się albo potopi skacząc do morza. Nie potrafiłby do tego dopuścić — w każdym razie nie z zimną krwią. Formowało mu się już w myślach inne wyjście.

— Możemy zostawić bryg kompletnie zniszczony — powiedział. — Poprzecinać talie do manipulowania rejami, fały... nawet foksztagi. Pięć minut roboty, a oni będą potrzebowali prawie całego dnia, żeby znowu postawić żagle.

Może ten apel pobudził instynkt niszczenia, bo, o dziwo, Baddlestone się zgodził.

— Dalejże! — rozkazał. — Zabierać się do dzieła.

Zorganizowanie pracy poszło bardzo szybko. Większość załogi stanowili wyszkoleni oficerowie, którym wystarczyło parę słów, żeby się zorientowali w sytuacji. Było dosyć ludzi na wystawienie straży przy lukach na dziobie i rufie (ich pokrywy rozpadały się szybko pod

uderzeniami siekier od dołu). Wyznaczono grupę demolującą i kazano jej przystąpić do dzieła. Właśnie wtedy Hornblower przypomniał sobie o jednym z ważnych obowiązków oficera Królewskiej Marynarki na zdobytej jednostce. Widocznie jego umysł pracował nierówno, z refleksami jasnego widzenia przedzierającymi się jak błyski światła przez ciemne chmury.

Pośpieszył do kajuty kapitańskiej, gdzie, jak się mógł spodziewać, zastał biurko zamknięte. Wziął handszak z najbliższego działła i używając go jako mocnej dźwigni, już po minucie miał biurko otwarte. Znalazł w nim papiery okrętowe, rejestr korespondencji, czystopis dziennika okrętowego i różne inne rzeczy. Ale gdy zaczął zgarniać papiery, coś dziwnego wpadło mu w ręce. Coś płaskiego, ciężkiego, o prostokątnym kształcie — na pierwszy rzut oka płytką ołowiu obwiązana smołowanym szpagatem. Przyjrzawszy się jej bliżej, stwierdził, że są to właściwie dwie płytki, a między nimi papiery. Musiały to być niezwykle ważne papiery, najpewniej rozkazy albo uzupełnienia i zmiany w książce sygnałowej. Opakowanie z ołowiu mówiło samo za siebie — przesyłkę należało wyrzucić za burtę, gdyby okrętowi zagroziło wpadnięcie w obce ręce. Meadows, zadając cios swym kordelasem, nie dopuścił do tego.

Po głośnych trzaskach dobiegających z pokładu Hornblower zorientował się, że pracowano tam już nad niszczeniem osprzętu brygu. Rozejrzawszy się po kajucie ściągnął z koi koc, zawinął w niego papiery i wepchnął je do torby, którą w biegu przewiesił sobie przez ramię. Trzask został spowodowany zwaleniem rei grotmasztu po przecięciu talii fału. Leżała na pokładzie w plątaniu lin, przez które można było zobaczyć, że padając pękła — złamała się w samym środku. Pięć minut pracy zespołu ludzi wiedzących dokładnie, co trzeba robić, uczyniło z brygu wrak.

Na dziobie Baddlestone z innymi pilnował luku, którego pokrywa rozpadała się na pojedyncze klepki pod wściekłymi ciosami siekier i łomów Francuzów. Widać już było w niej dziurę z poszarpanymi brzegami.

— Wystrzeliliśmy do nich wszystkie kule, jakeśmy mieli — oznajmił Baddlestone. — Odchodząc będziemy musieli dobrze wyciągać nogi.

Jego słowa podkreślił stuk i błysk spod pokładu — kula z muszkietu przecięła ze świstem powietrze między nimi.

— Chciałbym, żebyśmy mieli... — zaczął Baddlestone i urwał. Ta sama myśl w tej samej sekundzie przyszła do głowy Hornblowerowi.

Tuż po zapadnięciu zmroku bryg zbliżając się do „Princess” wystrzelił pocisk przed jej dziobem, na co „Princess” stanęła w dryf, jakby się poddając. Działo, z którego oddano tamten strzał, jest jeszcze prawie na pewno zdadne do użycia. Baddlestone ruszył do jednej baterii, Hornblower do drugiej.

— Tu jest ładunek! — krzyknął Baddlestone. — Hej, Jenkins, Sansome! Pomóżcie!

Hornblower przeszukał girlandy pocisków, by wreszcie znaleźć to, czego potrzebował.

— Ten kartacz załatwi sprawę — rzekł, podając pocisk komuś przy działku.

Baddlestone i inni pracowali jak szaleni obracając armatę handszpakami, żeby ją nacelować na otwór łukowy. Wymagało to ogromnego wysiłku. Lawety działa przeraźliwie turkotały i zgrzytały, szorując bokami po pokładzie. Baddlestone wyjął ładunek prochu w woreczku z serży z wiadra prochowego, ustawionego w pogotowiu obok działa. Ładunek przybito, na wierzch włożono kartacz — okrągły pojemnik z cienkiej blachy zawierający sto pięćdziesiąt kulek. Artylerzysta Gurney podziurawił woreczek szydłem przez otwór zapałowy i podsypał drobnoziarnistego prochu z rogu. Potem zaczął wbijać klin; zamek działa uniósł się i lufa niosąca straszliwą groźbę została wycelowana w otwór łukowy. Baddlestone potoczył wokół groźnym spojrzeniem, obracając uczernioną twarz to w jedną, to w drugą stronę.

— Wsiadać do łodzi, wszyscy! — rozkazał.

— Lepiej zostanę z panem — zaproponował Hornblower.

— Niech pan rusza do łodzi ze swoim oddziałem — nakazał mu Baddlestone.

Rozkaz był rozsądny. W tej ariergardowej akcji siła osłaniająca powinna zostać zredukowana do absolutnego minimum. Hornblower, zgromadził swoich ludzi w łodzi „Princess”, większość zaś oddziału Baddlestone'a wsiadła do tej z brygu. Hornblower stał przez chwilę na palcach mając wokół rozkołysane morze. Jedną ręką trzymał się podwiewi wantowych fokmasztu, drugą przytrzymał torbę z papierami okrętowymi. Nawet stojąc tak widział niewiele. Na chwiejnym pokładzie zasłanym niesamowitą płataniną zniszczonego takielunku leżały trupy, na wantach dalej świeciły dwie latarnie, a światło z kajuty to pokazywało się, to znikało w rytm zamykania się i otwierania drzwi. Gurney musiał wbić drugi klin pod zamek działa, bo teraz było wycelowane w luk pod ostrym kątem. Baddlestone i artylerzysta odsunęli się i wtedy Gurney pociągnął za linkę. Nastąpił potężny huk, oślepiający błysk, pokazał się kłęb dymu. Krzyki i jęki spod pokładu dobrze było słyszeć w miejscu, gdzie stał Hornblower. Potem Anglicy, Baddlestone i Gurney, strażnicy od obu luków i ci, co pilnowali jeńców, ruszyli biegiem przez pokład. Hornblower patrzył, jak tłumnie zwałają się do łodzi. Wsiadający na końcu Baddlestone odwrócił się, aby krzyknąć coś urągliwie, i zniknął w swej łodzi. Hornblower puścił podwiewia i usiadł na ławce rufowej.

— Odbijać! — rzucił.

Mały tańczący punkcik świetlny w oddali wskazywał, gdzie czekała na nich w dryfie „Princess”. Za pięć minut, wolni od pościgu, znów ruszą w drogę do Plymouth, z pomyślnym wiatrem.

Rozdział VII

Hornblower dopisał ostatnie linijki listu, szybko przebiegł go wzrokiem, od „Moja ukochana Żono” do „Twój kochający mąż Horatio”, złożył arkusik i wsunął go do kieszeni, po czym wyszedł na pokład. Założono właśnie ostatnią pętlę cumy na ostatni pachołek i „Princess” bezpiecznie stanęła przy nabrzeżu w zaopatrzeniowej części portu w Plymouth.

Jak zawsze było coś nierealnego, jakaś koszmarna wyrazistość w tym pierwszym zetknięciu z Anglią. Ludzie, magazyny, domy mieszkalne rysowały się z nienaturalną ostrością; echo głosów

odbite od lądu brzmiało inaczej; wiatr też był całkiem odmienny od tego, jaki znał w morzu. Pasażerowie wysiadali już na brzeg, gdzie zebrał się tłumek zaciekawionych gapiów. Już samo przybycie barki zaopatrzeniowej z Floty Kanału wzbudzało spore zainteresowanie, ponieważ mogła przywieźć jakieś nowiny. Ale barka, która naprawdę zdobyła wojenny bryg francuski i miała go przez kilka minut w posiadaniu, to było coś zupełnie nowego.

Trzeba było pożegnać się z Baddlestonem. Obok spraw związanych z wyładowaniem marynarskiego kufierka i worka z drobiazgami osobistymi miał z nim coś jeszcze do omówienia.

— Mam tu papiery francuskiego okrętu — powiedział Hornblower wskazując pakunek.

— No i co z tego? — wzruszył ramionami Baddlestone.

— Pańskim obowiązkiem jest przekazać je władzom — odparł Hornblower. — Jeśli już o to idzie, to wiem na pewno, że prawo nakazuje zrobić to panu. Jako oficer królewski muszę oczywiście dopilnować, żeby to zostało zrobione.

Wyglądało, że cała sprawa mało obchodzi Baddlestone'a, ale, podobnie jak Hornblower, nie chciał się zdradzać ze swymi nastrojami.

— To czemu pan tego nie zrobi? — odparł w końcu, popatrzywszy na Hornblowera długim, twardym spojrzeniem.

— To jest przyz wojenny, a pan jest dowódcą.

Baddlestone dał wyraz swej pogardzie dla przyzu wojennego, na który składały się jedynie bezwartościowe papiery.

— Niech pan się tym zajmie, kapitanie — rzekł skończywszy wiązanek przekleństw i plugawych słów. — Dla pana mogą być coś warte.

— Z pewnością — zgodził się Hornblower.

Poprzedni wyraz rezerwy na twarzy Baddlestone'a ustąpił badawczemu zaciekawieniu. Patrzył na Hornblowera, jakby się chciał upewnić, czy poza oczywistym motywem nie kryje się jakiś inny.

— To pan pomyślał, żeby je zabrać — ciągnął — a teraz jest pan gotów oddać je mnie?

— Oczywiście. Pan jest dowódcą.

Baddlestone potrząsnął wolno głową, jakby się uwalniając od problemu, ale Hornblower nigdy się nie dowiedział, jaki to był problem.

Potem, po wyjściu na brzeg, ogarnęło go dziwne uczucie nieruchomości ziemi pod stopami. Obie grupy pasażerów — oficerowie i marynarze — zamilkły, gdy zbliżył się do nich. Musiał oficjalnie pożegnać się z nimi — upłynęło zaledwie trzydzieści godzin od czasu, gdy wywijając kordelasami torowali wraz z nim drogę przez pokład francuskiego brygu. Połączyło ich braterstwo

broni — można by nawet rzec: braterstwo krwi — czyniąc z nich oddzielną grupę, zupełnie różną od niczego nieświadomych cywilów.

Lecz pierwszą rzeczą, jaką miał do załatwienia na lądzie, był list. W gromadce gapiów plątał się chudy, bosonogi obdartus.

— Hej, chłopcze! — zawołał Hornblower. — Chcesz zarobić szylinga?

— A jakżeby nie. — Znajomemu akcentowi towarzyszył zakłopotany uśmiech.

— Wiesz, gdzie jest Driver's Alley?

— Wiem, sir.

— Masz tu sześć pensów i list. Biegnij z nim do pani Hornblower. Potrafisz zapamiętać nazwisko? Powtórz je na głos. Bardzo dobrze. Jak oddasz jej list, da ci drugie sześć pensów. A teraz — biegnij.

Trzeba jeszcze było się pożegnać.

— Żegnałem się z większością z was, panowie, zaledwie kilka dni temu, a teraz muszę uczynić to znowu. Od tamtego czasu sporo się wydarzyło.

— Tak, sir! — przytaknął z naciskiem Bush, jako jedyny wśród obecnych oficer z nominacji.

— Dziś mówię wam raz jeszcze „do widzenia”. Powiedziałem poprzednio, że mam nadzieję, iż się kiedyś znów spotkamy, i to samo powtarzam obecnie. I mówię też „dziękuję”. Wiecie, że nie są to czeze frazesy.

— To my, sir, powinniśmy panu podziękować — odpowiedział Bush przy nieartykułowanym pomruku pozostałych.

— Do widzenia, marynarze — zwrócił się Hornblower do drugiej grupy. — Powodzenia.

— Do widzenia i wszystkiego najlepszego, sir.

Odwrócił się. Jakiś robotnik ze stoczni podjął się odwieźć jego rzeczy taczka. Hornblower mógł też położyć na niej ciężący mu w rękę owinięty w koc pakunek. Może jest bardzo cenny, ale przecież nie spuści go z oka. Musi też pamiętać o swej powadze kapitańskiej, uważał, że już i tak została narażona na szwank z powodu trudności z naśladowaniem chodu szczurów lądowych. Miał wrażenie, że kamienie bruku ulicznego pod jego stopami nie są na równym poziomie. Wiedział, że to skutek kroku marynarskiego, ale choć bardzo się starał, nie potrafił opanować rozkołysanego chodu i stały grunt wydawał się huśtać pod jego stopami.

Robotnik — jak można się było spodziewać — nie wiedział, gdzie można znaleźć admirałakomendanta portu. Nie znał nawet jego nazwiska, tak że trzeba było zatrzymać przechodzącego urzędnika i zapytać go o to.

— Admirał portu? — Urzędnik o nalanej twarzy powtórzył pytanie z wyniosłą pogardą na widok Hornblowera sponiewieranego i rozczochranego, z długimi, potarganymi włosami i w zmiętoszonym ubraniu, co nie było niczym dziwnym po prawie dwóch tygodniach przebywania na zatłoczonej barce. Lecz na lewym ramieniu pytającego był — wprawdzie zmatowiały — epolet, co spostrzegłszy, urzędnik dodał słabiutkie „sir”.

— Tak, admirał portu.

— Znajdzie go pan w jego biurze, w tamtym murowanym budynku.

— Dziękuję. Zna pan jego nazwisko?

— Foster. Kontradmirał Harry Foster.

— Dziękuję.

To musi być „Krażownik” Foster, jeden z zespołu kapitanów, który egzaminował Hornblowera na stopień porucznika przed laty w Gibraltarze, owej nocy, kiedy Hiszpanie wysłali brandery[13].

Wartownik, żołnierz piechoty morskiej, sprezentował broń na widok epoletu, lecz mimo sztywności postawy zauważył zawiniątko w kocu, które Hornblower wziął od robotnika — trzymając prosto szyję, tak wykręcał oczy, żeby móc na nie zerknąć. Hornblower zdjął zmięty kapelusz, odwzajemniając pozdrowienie, i poszedł dalej. Porucznik flagowy, z którym rozmawiał następnie, też widział pakunek, lecz wyraz jego twarzy zmiękł po wyjaśnieniu Hornblowera, że niesie zdobyte dokumenty.

— Z „Gučpe”, sir? — spytał.

— Tak — odparł zdumiony Hornblower.

— Admirał przyjmie pana, sir.

Zaledwie wczoraj, przeglądając dokładniej na barce zdobyty dziennik okrętowy, Hornblower znalazł nazwę francuskiego brygu. „Princess” dobiła do lądu dopiero godzinę temu, a tu sprawa jest już znana w biurze admirała. Oszczędzi to przynajmniej trochę czasu — Maria czeka u bramy portu.

„Krażownik” Foster wyglądał tak samo, jak go zapamiętał Hornblower, smagły, z sardonicznym uśmiechem. Szczęśliwie zapomniał chyba nerwowego midszypmena, którego egzamin został, pomyślnie dla niego, przerwany owego wieczora w Gibraltarze. Podobnie jak oficer flagowy, i on słyszał już o zdobyciu brygu — jeszcze jeden przykład szybkości, z jaką plotki potrafią się rozprzestrzeniać. Słuchając raportu Hornblowera chwycił szczegóły z zawodową łatwością.

— A to te dokumenty? — spytał, gdy Hornblower wspomniał o nich w swojej pobieżnej relacji.

— Tak, sir.

Foster wyciągnął po nie wielką dłoń.

— Nie każdy pamiętałby o ich zabraniu, kapitanie — powiedział przerzucając dokumenty. — Dziennik pokładowy. Książka raportów dziennych. Rozkład stanowisk załogi. Rozkład alarmowy. Raporty prowiantowe.

Naturalnie od razu zauważył przesyłkę w ołowianym opakowaniu, lecz odłożył ją na bok, żeby zająć się nią na końcu.

— No a cóż my mamy tutaj? — Uważnie obejrzał nalepkę z adresem. — Co znaczy „S.E.”?

— Son Excellence — jego ekscelencja, sir.

— Jego Ekscelencja Generał-Kapitan czego?... Co to jest kapitanie?

— Wysp Nawietrznych, sir.

— Powinienem był się domyślić widząc napis „Martiniąue” — przyznał Foster. — Ale nigdy nie miałem głowy do francuskiego. A więc...

Sięgnął po nóż do papieru na biurku. Obejrzał smołowany sznurek, którym były obwiązane dwie złożone ze sobą płytki ołowiu. Potem z widocznym oporem odłożył nóż i podniósł wzrok na Hornblowera.

— Może nie będę tego ruszał — rzekł. — Najlepiej zostawmy to ich lordowskim wysokościom.

Hornblower myślał tak samo, chociaż nie ośmieliłby się powiedzieć tego na głos. Foster popatrzył na niego badawczo.

— Kapitanie, zamierza pan oczywiście udać się do Londynu? — spytał.

— Tak, sir.

— Jasne. I pewnie chciałby pan dostać okręt.

— Tak, sir. Admirał Cornwallis podał mnie do awansu w ubiegłym miesiącu.

— W takim razie... To coś... — Foster stuknął palcem w przesyłkę — oszczędzi panu czasu i pieniędzy. Oficerze flagowy!

— Sir! — Porucznik zjawił się momentalnie.

— Kapitan Hornblower będzie potrzebował karety pocztowej.

— Tak jest, sir.

— Niech ją zaraz podstawią pod bramę.

— Tak jest, sir.

— Proszę przygotować rozkaz podróży do Londynu.

— Tak jest, sir.

Foster ponownie obrócił uwagę na Hornblowera i uśmiechnął się sardonicznie na widok oszołomienia i zaskoczenia malującego się na jego twarzy. Tym razem Hornblower nie upilnował się i zdradził ze swymi uczuciami.

— Siedemnaście gwinei będzie to kosztowało króla Jerzego, niech go Bóg błogosławi — powiedział Foster. — Nie jest pan wdzięczny za jego szczodrość?

Hornblower odzyskał panowanie nad sobą. Potrafił nawet ukryć irytację z powodu chwilowej jego utraty.

— Oczywiście, sir — odparł z kamienną twarzą i prawie obojętnym tonem.

— Codziennie, a nieraz i dziesięć razy na dzień — ciągnął Foster — nachodzą mnie oficerowie, czasem nawet admirałowie, próbując dostać rozkaz podróży do Londynu. Jakich to argumentów się nasłuchałem!... A tu panu wszystko jedno.

— Oczywiście jestem zachwycony, sir — powiedział Hornblower. — I wielce zobowiązany.

Maria będzie czekała przy bramie, lecz on był za dumny, żeby zdradzić się z jeszcze jedną słabością pod sardonicznym spojrzeniem Fostera. Oficer królewski musi pełnić swój obowiązek. Zresztą nie upłynęły trzy miesiące, gdy widział się z Marią. Inni oficerowie pozostawali z dala od swych żon od chwili wybuchu wojny przed dwoma laty.

— Nie musi się pan czuć zobowiązany wobec mnie — dorzucił Foster. — To „coś” wpłynęło na moją decyzję.

Tym „czymś” była oczywiście przesyłka. Foster znów trzepnął w nią palcami.

— Tak, sir.

— Ich lordowskie wysokości powinny uznać, że to warte siedemnastu gwinei. Nie robię tego przez wzgląd na pański osobisty urok.

— Naturalnie, sir.

— Ach, prawda. Powiniennem też dać panu kartkę do Marsdena. Dzięki niej portier wpuści pana.

— Dziękuję, sir.

Te dwie ostatnie uwagi — Hornblower przetrwał je, gdy Foster pisał notatkę — rozpatrywane łącznie trudno było uznać za taktowne. Zakładały one brak osobistego uroku. Marsden jest sekretarzem lordów Admiralicji i uwaga, że Hornblowerowi trzeba kartki, żeby został do niego dopuszczony, była nie wypowiedzianym wprawdzie wyraźnie, lecz obraźliwym komentarzem do jego wyglądu.

— Kareta podjeżdża pod bramę, sir — oznajmił oficer flagowy.

— W porządku. — Foster posypał list piaskiem, zsywał go do pojemniczka, złożył pismo, zaadresował, osuszył piaskiem atrament na kopercie i znów zsywał piasek do naczynia. — Proszę to łaskawie zalakować.

Czekając aż oficer flagowy zapieczętuje list używając świecy i wosku. Foster patrzył z założonymi rękami na Hornblowera.

— Będą męczyć pana o nowiny na każdym punkcie zmiany koni — zauważył. — W kraju nie myśli się o niczym innym jak tylko: „Co robi Nelson” i „Czy Bonio już się przeprawił?” Będą mówić o Villain-noove'ie i o Calderze w taki sam sposób, jak zwykli dyskutować o Tomie Cribbie i Jemie Belcherze.

— Naprawdę, sir? Chyba nie słyszałem nic ani o jednym, ani o drugim.

Tom Cribb i Jem Belcher walczyli w tym okresie o mistrzostwo Anglii w wadze ciężkiej.

— To nie ma znaczenia.

— Gotowe, sir — powiedział oficer flagowy i podał zalakowany list Hornblowerowi, który przez chwilę trzymał go w zakłopotaniu, zanim włożył do kieszeni — wyglądało to na dość nonszalancki stosunek do listu do sekretarza Admiralicji.

— Do widzenia, kapitanie — powiedział Foster — i przyjemnej podróży.

— Kazałem włożyć pański bagaż do karety — oznajmił oficer flagowy, gdy szli ku bramie.

— Dziękuję — odparł Hornblower.

Za bramą jak zwykle czekała grupka robotników w nadziei, że ktoś ich wynajmie, a także niespokojne żony i zwyczajni gapie. W tej chwili uwagę ich zajmowała czekająca kareta z pocztylionem przy koniach.

— No to do widzenia, kapitanie, i przyjemnej drogi — powiedział oficer flagowy oddając zawiniątko w kocu. Zza bramy rozległ się dobrze znany głos:

— Horry! Horry!

Maria, w czepku i szalu, stała przy furtce w bramie z małym Horatiem w ramionach.

— To moja żona i dziecko — wyjaśnił krótko Hornblower. — Do widzenia, sir.

Wyszedł za bramę i objął Marię i dziecko jednym uściskiem.

— Horry, kochany. Mój skarbie — mówiła Maria. — Jesteś więc znów z powrotem. Oto twój syn, popatrz, jak urósł. Biega przez cały dzień. No, kruszynko, uśmiechnij się do taty.

Mały Horatio naprawdę uśmiechnął się przez mgnienie, ale zaraz ukrył twarzyczkę na piersiach Marii.

— Rzeczywiście dobrze wygląda — powiedział Hornblower. — A jak ty się czujesz, moja droga?

Odsunął się, żeby się jej przyjrzeć. Na razie nie było znać po niej ciąży, może poza wyrazem twarzy.

— Twój widok, ukochany, wlewa we mnie nowe życie — odparła Maria.

Z bólem uświadomił sobie, jak bliskie prawdy były jej słowa. Jeszcze cięższa okazała się świadomość, że akurat w tym momencie musi jej oznajmić o swoim natychmiastowym odjeździe.

Właśnie, jak zawsze, Maria wyciągnęła prawą rękę, żeby mu poprawić mundur, lewą trzymając małego Horatia.

— Horry, mój drogi — powiedziała — twoje ubranie wygląda fatalnie. Jaki zmięty masz mundur. Chętnie przejechałabym po nim żelazkiem.

— Moja droga... — zaczął.

Nadszedł moment na oznajmienie nowiny, lecz Maria go uprzedziła.

— Wiem — powiedziała szybko. — Widziałam, jak ładowali twój kuferek i worek do karety pocztowej. Odjeżdżasz.

— Niestety, tak.

— Do Londynu?

— Tak.

— Ani nawet chwileczki ze mną... z nami?

— Niestety, kochanie, to niemożliwe.

Maria zachowywała się bardzo dzielnie. Odrzuciła głowę do tyłu i, niezwykle opanowana, popatrzyła mu prosto w oczy. Tylko leciutkie drżenie warg zdradzało wewnętrzne napięcie.

— A potem, skarbie? — spytała. W jej głosie też można było wyczuć nerwowość.

— Mam nadzieję, że dadzą mi okręt. Pamiętaj, droga, będę kapitanem.

— Tak. — Tylko jedno słowo wyrażające pełną rozpaczy zgodę na to, co musiało być.

Może i dobrze się stało, że właśnie wtedy Maria spostrzegła coś, co odwróciło jej uwagę, chociaż Hornblower podejrzewał, że jego dzielna żona uczyniła to świadomie. Podniosła dłoń do jego policzka i dotknęła okolicy szczęki pod lewym uchem.

— Cóż to jest? — spytała. — Wygląda na farbę. Czarną farbę. Nie dbałeś, kochany, za bardzo o siebie.

— Bardzo możliwe, że to farba — przyznał Hornblower.

Opanował prawie bezwiedną chęć cofnięcia się przed tą pieszczotą na oczach innych, zanim dotarło do niego, o czym mówi Maria. I od razu zalała go fala wspomnień. Ubiegłej nocy wdzierał się szturmem na „Guçpe” z gromadką wyjących szaleńców o uczernionych twarzach. Słyszał zgrzyt ostrza kordelasa na kości i błagalny krzyk o łaskę; widział dziewięciofuntowy kartacz wystrzelony w tłum stłoczony w dole na międzypokładzie. Dopiero zeszłej nocy, a tu jest Maria, prosta, niewinna, nie zdająca sobie z niczego sprawy, i jego dziecko, i gapiący się ludzie, a wszystko to pod słońcem Anglii. Był to tylko krok z jednego świata w drugi, lecz krok długi nieskończenie, nad przepaścią bez dna.

— Horry, skarbie? — powiedziała Maria pytającym tonem, przerywając mu tok wspomnień.

Patrzyła na niego z niepokojem i uważnym okiem badała jego wygląd, przerażona tym, co widziała. Pomyślał, że chyba spojrzął wilkiem, a może nawet warknął, i że jego twarz musiała zdradzić przeżywane od nowa emocje. Teraz należało się uśmiechnąć.

— Na „Princess” trudno było dbać o czystość — odparł. Pamiętał kłopoty ze zmywaniem twarzy terpentyną przed lusterkiem na skaczącej na falach barce idącej pod pełnym wiatrem.

— Musisz to zrobić, jak tylko będziesz mógł — nalegała Maria. Zaczęła wycierać chusteczką plamę pod uchem. — Nie chce schodzić.

— Tak, skarbie.

Poczuł, że jego trupi grymas przechodzi w łagodny, swobodny uśmiech, i gdy na twarzy Marii zobaczył znowu wyraz ufności, uznał, że czas się rozstać.

— A teraz, kochana, do widzenia — powiedział miękko.

— Tak, skarbie.

Dobrze opanowała swą rolę, przeżywszy pół tuzina rozstań od czasu ich ślubu. Wiedziała, że ten jej mąż, którego tak trudno zrozumieć, nie lubi zdradzać uczuć, nawet gdy są sami, a cóż dopiero

przy świadkach. Wiedziała, że miewa chwile zamykania się w sobie, czego nie powinna mieć mu za złe, bo później jest mu przykro z tego powodu. Ale przede wszystkim nauczyła się, że wobec jego poczucia obowiązku ona sama nie znaczy nic, absolutnie nic. Wiedziała, że jeśli z tego powodu rozczuli się nad sobą i dzieckiem, będzie bardzo cierpieć, a tego nie chciała, bo on cierpiałby tak samo, a może i bardziej.

Do czekającej karety pocztowej było tylko kilka kroków. Hornblower sprawdził spojrzeniem, czy jego kuferek i worek włożono pod siedzenie, potem złożył na nim swe cenne zawiniątko i odwrócił się do żony i dziecka.

— Do widzenia, synu — powiedział. Raz jeszcze został wynagrodzony uśmiechem, ale dzieciak zaraz skrył twarzyczkę. — Do widzenia, skarbie. Napiszę, oczywiście, do ciebie.

Podążyła mu usta do pocałunku, powstrzymując się od padnięcia mu w ramiona, i uważała, żeby cofnąć wargi w tej samej chwili, kiedy on uznał, że należy pocałunek zakończyć. Hornblower wszedł do karety i opadł na siedzenie z uczuciem dziwnego osamotnienia. Pocztylion wszedł na kozioł i obejrzał się przez ramię.

— Londyn — rzucił Hornblower.

Konie ruszyły, a grupka gapiów wzniosła słabiutki okrzyk. Potem podkowy zastukały po kocich łbach, kareta skręciła nagle za róg i Maria znikła mu z oczu.

Rozdział VIII

— Może być — powiedział Hornblower do gospodyni.

— 'Arry, przynieś tu rzeczy na górę — krzyknęła gospodyni przez ramię i Hornblower posłyszał ciężkie kroki jej głupkowatego syna wnoszącego kuferek marynarski po schodach nie pokrytych dywanem.

W pokoiku było łóżko, krzesło i umywalka, a na ścianie lusterko — wszystko, czego mógł potrzebować mężczyzna. Tę tanią kwaterę polecił mu ostatni Pocztylion. Kareta pocztowa skręcająca z Westminster Bridge Road w cuchnącą uliczkę i zatrzymująca się tam przed domem wywołała poruszenie — nie spodziewano się widoku karety na takiej uliczce. Przez wąskie okno wciąż było słychać okrzyki dzieci zaciekawionych tym widokiem.

— Czegoś pan chce? — spytała gospodyni.

— Gorącej wody — odparł Hornblower.

Kobieta popatrzyła prawie surowo na człowieka żądającego gorącej wody o dziesiątej rano i rzekła:

— No, niech będzie, przyniosę. Hornblower rozejrzał się po pokoju. Umysł miał tak skołowaciały, że wydało mu się, iż jeśli rozluźni uwagę, pokój zawiruje wokół niego. Usiadł na krześle. Plecy bolały go, jakby były jedną wielką raną po zbiciu pałką. Dużo wygodniej byłoby

rozciągnąć się na łóżku, lecz nie śmiał tego uczynić. Zsuł buty, zdjął mundur i wtedy stwierdził, że jego ciało cuchnie.

— Tu masz pan swoją gorącą wodę — powiedziała gospodyni wchodząc do izdebki.

— Dziękuję.

Gdy drzwi zamknęły się za nią, Hornblower mimo znużenia wstał i rozebrał się do naga. Od razu poczuł się lepiej. Nie zdejmował ubrania od trzech dni, a w pokoiku bezpośrednio pod dachem przyjmującym żar czerwcowego słońca było piekielnie gorąco. Otepiały ze zmęczenia, musiał się dobrze zastanowić, co powinien teraz uczynić, nim wyjął czystą bieliznę i rozwinął zawiniątko z przyborami do golenia. W lusterku ujrzał twarz zarośniętą i pokrytą grubo pyłem. Z obrzydzeniem odwrócił się od tego widoku.

Trudno i niewygodnie było myć się po kawałku w miednicy, lecz przyniosło mu to pewną ulgę. Wszystko, co miał na sobie, było przesycone kurzem, który przedostał się wszędzie — nawet do kuferka — i sypał się z wyjętego stamtąd ubrania. Ostatni półkwaterek ciepłej wody zużył na golenie.

Teraz wyglądał dużo lepiej, chociaż twarz patrząca na niego z lusterka była bardzo zmizerowana, a wyblakły abażur Sprawiał, że opalenizna wyglądała jakby to była powłoka z farby — to mu przypominało, żeby dokładniej obejrzieć szczękę pod lewym uchem. Czas, a teraz ogolenie sprawiły, że czarna plama, o której mówiła Maria, znikła. Przebrał się w czystą odzież, naturalnie lekko wilgotną, jak zawsze dopiero co po powrocie z morza — taka już pozostanie, dopóki się jej nie upierze w słodkiej wodzie. Wreszcie był gotów. Zajęło mu to godzinę, czyli dokładnie tyle, ile sobie na to przeznaczył. Wziął zawiniątko z papierami i sztywno stąpając zszedł schodami na dół. Ciągle jeszcze był niewiarygodnie otepiały ze zmęczenia. Przez ostatnie kilka godzin jazdy kareta pocztową podrzemywał od czasu do czasu na siedząco, kołysany na porytych koleinami drogach. Podróż kareta, choć brzmi to romantycznie, jest niezwykle wyczerpująca. Przy zmianach koni robił niekiedy półgodzinną przerwę — dziesięć minut na posiłek i dwadzieścia na drzemkę z głową na rękach opartych na stole. Uznał, że lepiej już chyba być oficerem marynarki niż kurierem. Na moście zapłacił pół pensa rogatekowego. Normalnie obserwowałby z ciekawością ruch na rzece, lecz teraz nie zdobył się nawet na to, żeby spojrzeć w dół na wodę. Skręcił we Whitehall i dojechał do Admiralicji.

„Krażownik” Foster okazał przezorność zaopatrując go w pisemko. Portier zmierzył podejrzliwym wzrokiem Hornblowera i jego zawiniątko, nim podszedł do niego — musiał odprawiać z niczym nie tylko wariatów i pomyleńców, lecz i oficerów marynarki wojennej nachodzących ich lordowskie wysokości z prośbami o zatrudnienie.

— Mam list do pana Marsdena od admirała Fostera — powiedział Hornblower i z zaciekawieniem patrzył, jak natychmiast zmienił się wyraz twarzy portiera.

— Sir, zechce pan łaskawie napisać odnośną notatkę na tym formularzu? — spytał.

Hornblower napisał: „Przynoszę wiadomość od kontradmirała Harry'ego Fostera” i podpisał

się, podając również adres pensjonatu, w którym się zatrzymał.

— Tędy, sir — powiedział portier. Widocznie — a raczej na pewno — admirał dowodzący w Plymouth miał prawo natychmiastowego dostępu, osobiście lub przez emisariusza, do sekretarza ich lordowskich wysokości.

Wprowadziwszy Hornblowera do poczekalni, portier pośpieszył dokądś z listem. W poczekalni siedziało kilku oficerów z wyrazem wyczekiwania, zniecierpliwienia lub rezygnacji na twarzach. Hornblower wymienił z nimi oficjalne „dzień dobry” i usiadł w kącie. Drewniane krzesło nie było przyjazne dla jego wymęczonego siedzenia, lecz miało wysokie oparcie i poręczę, o które dobrze było się oprzeć.

W jakiś sposób Francuzom powiódł się abordaż „Princess” przez zaskoczenie w ciemnościach, a teraz biegali jak furia po stateczku wywijając kordelasami. Na pokładzie panował kompletny chaos. Hornblower próbował wyplątać się z hamaka, żeby walczyć o życie. Ktoś wołał: „Sir, niech się pan obudzi!” W tym sęk, że chciał się zbudzić, lecz nie mógł. Wreszcie uświadomił sobie, że te słowa ktoś krzyczy mu do ucha i szarpie za ramię. Zamrugał i wrócił do przytomności i rzeczywistości.

— Pan Marsden przyjmie pana teraz, sir — oznajmił nieznajomy, który go zbudził.

— Dziękuję — odparł Hornblower, biorąc zawiniątko i z trudem dźwigając się na nogi.

— Był pan daleko myślami, sir — rzekł posłaniec. — Tędy, sir, proszę, sir.

Hornblower nie pamiętał, czy ludzie w poczekalni byli ci sami, których tu zastał, czy też inni, lecz gdy opuszczał pokój, patrzyli za nim z zawistną wrogością.

Pan Marsden był wysokim i niezmiernie wytwornym dżentelmenem w średnim wieku, trochę staroświeckim, z włosami związanymi na plecach wstążką. Nie umniejszało to jednak jego elegancji, bo ten styl świetnie do niego pasował. Hornblower wiedział, że jest to już postać legendarna. Jego nazwisko znane było jak Anglia długa i szeroka, gdyż to do niego była adresowana korespondencja („Sir, mam zaszczyt poinformować Pana dla dalszego powiadomienia Ich Lordowskich Wysokości, że...”) i drukowana potem bez zmian w gazetach. Pierwsi lordowie przychodzili i odchodzili — na przykład lord Barham właśnie przyszedł, a lord Melville odszedł — podobnie mogli się zmieniać lordowie morscy i admirałowie, a pan Marsden trwał jako sekretarz. To przez jego ręce przechodziły wszystkie sprawy największej marynarki wojennej, jaką znał świat. Hornblower słyszał oczywiście, że ma on duży personel, nie mniej niż czterdziestu urzędników, i zastępcę, pana Barrowa, znanego prawie równie dobrze jak sam Marsden. Lecz przy tym wszystkim to właśnie do pana Marsdena najlepiej pasowało określenie, że jest człowiekiem w pojedynkę prowadzącym wojnę na śmierć i życie przeciwko francuskiemu cesarstwu i Bonapartemu.

Pokój był przyjemny i elegancki, z oknami wychodzącymi na Horse Guards Parade[14], i stanowił doskonałe tło dla pana Marsdena siedzącego przy owalnym stole. Obok niego stał niemłody urzędnik, szczupły i siwowłosy, z pewnością niższego stopnia, o czym świadczył podniszczony surdut i przetarta koszula.

Po krótkiej wymianie powitań Hornblower położył na stole swoje zawiniątko.

— Dorsey, niech pan zobaczy, co tam jest — powiedział Marsden przez ramię do urzędnika, a sam zwrócił się do Hornblowera ze słowami: — Jak pan to dostał w swoje ręce?

Hornblower opowiedział, jak chwilowo opanowali „Gučpe”. W czasie tej szybkiej relacji pan Marsden nie spuszczał szarych oczu z jego twarzy.

— Kapitan francuski został zabity? — spytał.

— Tak.

Nie było potrzeby mówić, co kordelas Meadowsa uczynił z jego głowy.

— To znaczy, że to mogą być oryginały — zauważył Marsden. Hornblower nie zrozumiał początkowo, o czym on mówi. Domyślił się w następnej chwili, że Marsdenowi chodzi o to, że nie był to żaden *ruse de guerre*[15] i że papiery nie zostały podrzucone mu celowo.

— Uważam, że są absolutnie oryginalne, sir. Widzi pan... — powiedział i dodał dla wyjaśnienia, że bryg francuski ani przez chwilę nie mógł się spodziewać kontrataku „Princess”.

— Tak — zgodzi się Marsden. Jego zachowanie było lodowato chłodne, a głos niezmiennie urzędowy. — Musi pan zrozumieć, że Bonaparte poświęciłby życie każdego człowieka, gdyby pozwoliło mu to wyprowadzić nas w pole. Lecz pan mówi, kapitanie, że tamte okoliczności były absolutnie nie do przewidzenia. Dorsey, co pan tam znalazł?

— Nic, co byłoby szczególnie ważne, z wyjątkiem tego, sir.

„Tym” była oczywiście przesyłka w ołowianym opakowaniu. Dorsey przyglądał się uważnie sznurkowi, którym były związane płytki ołowiu.

— Nie było to robione w Paryżu — orzekł. — Płytki obwiązano na okręcie. A kartkę z adresem napisał prawdopodobnie kapitan. Pan pozwoli, sir.

Dorsey wziął nóż do papieru z korytka przed Marsdenem i przeciął szpagat. Opakowanie rozpadło się.

— O! — wykrzyknął.

Spomiędzy płytek wypadła duża płócienna koperta grubo zalakowana w trzech miejscach. Dorsey obejrzał uważnie pieczęcie i podniósł wzrok na Hornblowera.

— Sir — powiedział. — Przywiózł nam pan coś cennego. Rzekłbym, rzecz bardzo cenną, sir. Pierwszą tego rodzaju, jaka dostała się w nasze ręce.

Podał kopertę Marsdenowi stukając palcem w pieczęcie.

— To są pieczęcie świeżutko powstałego cesarstwa Bonapartego, sir — rzekł. Trzy dobre wzory.

Hornblower zdał sobie sprawę, że upłynęło zaledwie kilka miesięcy od czasu, gdy Bonaparte ogłosił się cesarzem, a konsulatus republikański ustąpił miejsca cesarstwu. Otrzymaawszy od Marsdena pozwolenie na bliższe przyjrzenie się kopercie, dostrzegł orła cesarskiego z jego strzałką piorunową, lecz ptak nie wyglądał nazbyt godnie, bo pióra na jego nogach groteskowo przypominały spodnie.

— Chciałbym to ostrożnie otworzyć, sir — powiedział Dorsey.

— Dobrze, niech pan idzie i zajmie się tym.

Los Hornblowera ważył się w tej chwili i — pełen niespokojnych przeczuć — w jakiś sposób Hornblower zdawał sobie z tego sprawę. Tymczasem Marsden nie odrywał chłodnego spojrzenia od jego twarzy, szykując się przypuszczalnie do odprawienia go.

Później w swoim życiu — nawet już po miesiącu czy dwóch — Hornblower mógł patrzeć wstecz na ten moment jak na chwilę, w której jego los został odwrócony w takim, a nie innym kierunku dzięki różnicy jednej tylko minuty w czasie. Spoglądając w przeszłość przypominał sobie sytuacje, gdy kule muszkietu omijały go w odległości nie większej od stopy. Najdrobniejsza, minimalna poprawka celu ze strony doborowego strzelca położyłaby go trupem, kładąc kres jego karierze. Podobnie teraz, kilkusekundowa zwłoka na trasie telegrafu, o minutę późniejsze przybycie posłańca mogłoby sprawić, że życie Hornblowera potoczyłoby się innym torem.

Bo oto przez gwałtownie otwarte drzwi w przeciwległym końcu pokoju wszedł jeszcze jeden wytworny dżentelmen. Od kilka lat młodszy od Marsdena, był ubrany spokojnie, lecz bardzo modnie. Lekko przykrochmalony kołnierz sięgał mu uszu, a biała kamizelka przy czarnym ubraniu dyskretnie uwydatniała szczupłość jego talii. Marsden obejrzał się, trochę zniecierpliwiony tym wtargnięciem, lecz się opanował widząc, kim był intruz, zwłaszcza gdy dostrzegł kartkę papieru drżącą w jego dłoni.

— Villeneuve jest w Ferrolu — oznajmił przybyły. — Właśnie przyszło to telegraficznie. Calder stoczył z nim bitwę w pobliżu Finisterre i pozwolił mu umknąć. Marsden wziął depeszę i przeczytał uważnie.

— Trzeba to przekazać jego lordowskiej wysokości — powiedział spokojnie i wolnym ruchem podniósł się z krzesła. Nawet w takiej chwili nie okazał pośpiechu. — Panie Barrow, to jest kapitan Hornblower. Radzę panu posłuchać o jego ostatniej zdobyczy.

Marsden wyszedł przez ledwie widoczne drzwi za jego plecami, niosąc wiadomość o niezwykle, decydującym znaczeniu. Villeneuve, mający przeszło dwadzieścia okrętów liniowych francuskich i hiszpańskich — okrętów mogących zapewnić Bonapartemu przeprawę przez Kanał — zniknął z nimi z oczu przed trzema tygodniami, gdy tymczasem Nelson tropił go aż do Indii Zachodnich. Caldera postawiono w okolicy Finisterre z zadaniem pochwylenia i zniszczenia floty Villeneuve'a i, jak widać, misja ta nie powiodła mu się.

— Cóż takiego pan zdobył, kapitanie? — spytał Barrow. To proste pytanie przerwało tok myśli Hornblowera jak kula z pistoletu.

— Tylko przesyłkę od Bonapartego, sir — odparł. Mimo zamętu w głowie okazał się dość przytomny, by dodać „sir” — ostatecznie Barrow to drugi sekretarz, a jego nazwisko jest prawie tak samo znane jak Marsdena.

— Ależ, kapitanie, to może mieć ogromne znaczenie. Czego dotyczyła?

— Właśnie jest otwierana, sir. Pan Dorsey tym się zajął.

— Rozumiem. Pracując czterdzieści lat w tutejszym biurze Dorsey nauczył się obchodzić ze zdobycznymi dokumentami. To jego specjalność.

— Tak sądziłem, sir.

W czasie milczenia, jakie potem zapadło na chwilę, Hornblower zebrał się na odwagę, żeby zadać dręczące go pytanie:

— Co z tą wiadomością, sir? Co z Villeneuve? Czy mógłby mi pan powiedzieć, sir?

— Nic się nie stanie, jeśli się pan dowie — odparł Barrow. — I tak trzeba będzie podać to do prasy możliwie jak najszybciej. Calder spotkał się z flotą Villeneuve'a w pobliżu Finisterre. Walczył prawie przez dwa dni — pogoda była mglista — a potem chyba stracił z nimi kontakt.

— Żadnych przyzów, sir?

— Zdaje się, że Calder zdobył dwie jednostki hiszpańskie.

Dwie floty, każda złożona z dwudziestu czy nawet więcej okrętów, biją się przez dwa dni — i tylko taki rezultat. Ludzie w Anglii będą wściekli — a skoro już o tym mowa, to Anglia może się znaleźć w bardzo poważnym niebezpieczeństwie. Francuzi zastosowali pewnie swą zwykłą taktykę uników, posuwając się w kierunku zawietrznym i bijąc całymi salwami burtowymi, natomiast Brytyjczycy usiłowali doprowadzić do walki w zwarciu i zapłacili za tę próbę.

— I Villeneuve przedarł się do Ferrolu, sir?

— Tak.

— To miejscowość trudna do pilnowania — zauważył Hornblower.

— Zna pan Ferrol? — spytał Barrow z nagłym zaciekawieniem.

— Dość dobrze, sir.

— Skąd?

— Przebywałem tam w dziewięćdziesiątym siódmym jako jeniec wojenny, sir.

— Czy pan uciekł?

— Nie, sir. Zwolnili mnie.

— Na wymianę?

— Nie, sir.

— Więc czemu?

— Pomagałem ratować ludzi z rozbitego statku.

— Tak? Zatem zna pan warunki w Ferrolu?

— Dość dobrze, sir, jak powiedziałem.

— Rzeczywiście. I mówi pan, że to miejscowość trudna do pilnowania. Czemu?

Siedząc w zacisznym biurze w Londynie człowiek mógł przeżywać tyleż niespodzianek co na pokładzie fregaty w morzu. Zamiast białego szkwału nadlatującego nagle od rufy z niespodziewanego kierunku czy nagłego pojawienia się nieprzyjacielskiej jednostki na widnokręgu postawiono tu pytanie z żądaniem natychmiastowej odpowiedzi na temat trudności blokowania Ferrolu. W dodatku informacji tej domagała się osoba cywilna, szczer lądowy, i to domagała się pilnie. Po raz pierwszy w stuleciu pierwszy lord Admiralicji był człowiekiem morza, admirałem — dobrze byłoby dla drugiego sekretarza, żeby podczas najbliższej konferencji mógł zabłysnąć znajomością warunków w Ferrolu.

Hornblower miał teraz wyrazić w słowach to, co dzięki instynktowi żeglarza rysowało mu się dopiero w świadomości. Musiał szybko pomyśleć, jak w sposób uporządkowany przekazać swe uwagi.

— Przede wszystkim sprawa odległości — zaczął. — To zupełnie coś innego niż blokowanie Brestu.

W obu wypadkach bazą byłoby Plymouth, skąd do Brestu jest mniej niż pięćdziesiąt lig, natomiast do Ferrolu prawie dwieście — w związku z czym, zaznaczył Hornblower, trudności z zaopatrzeniem floty blokującej Ferrol byłyby czterokrotnie większe.

— A przy utrzymywaniu się wiatrów zachodnich nawet więcej niż czterokrotnie — dodał.

— Proszę mówić dalej, kapitanie — powiedział Barrow.

— Lecz w gruncie rzeczy nie jest to tak ważne jak pozostałe czynniki, sir — stwierdził Hornblower.

Dalej szło mu łatwo. Flota blokująca Ferrol nie miałaby przyjaznego dla siebie miejsca schronienia po zawietrznej. Okręty blokujące Brest mogły w razie sztormu od zachodu skryć się w zatoce Tor — strategia ubiegłych pięćdziesięciu lat opierała się na tym geograficznym fakcie. Flota blokująca Kadyks mogłaby polegać na przyjaznej neutralności Portugalii, mając Lizbonę z jednej flanki, a Gibraltar z drugiej. Nelson pilnujący Tuluzy korzystał z kotwicowisk wybrzeża Sardynii. Lecz pod Ferrolelem rzecz przedstawiałaby się zupełnie inaczej. Zachodnie wichury wpędzałyby blokującą flotę w *cul-de-sac*[16] Zatoki Biskajskiej, której wybrzeże było nie tylko nieprzyjazne, lecz dzikie i urwiste, tonące w deszczach i mgle. Pilnowanie Villeneuve'a w Ferrolu byłoby, zwłaszcza zimą, połączone z trudami nie do zniesienia, tym bardziej że wyjścia z Ferrolu są dużo łatwiejsze i dogodniejsze niż jedyna droga z Brestu — największa flota, jaką można sobie wyobrazić, byłaby w stanie dokonać wypadu z Ferrolu na jednym płycie, co nigdy się nie powiodło dużej flocie francuskiej z Brestu. Hornblower przywołał na pamięć swoje obserwacje w Ferrolu w zakresie urządzeń do szybkiego zaopatrywania statków w wodę, cumowania i pobierania zaopatrzenia; dotyczące wiatrów pomyślnych dla wychodzenia z portu i uniemożliwiających wyjście; szans floty blokującej na potajemne nawiązanie kontaktu z brzegiem — czego w późniejszym czasie dokonał sam pod Brestem — i możliwości obserwowania z bliska blokowanych sił.

— Wygląda, kapitanie, że dobrze pan spożytkował swój pobyt w Ferrolu — zauważył Barrow.

Hornblower już miał wrzucić ramionami, lecz w porę powstrzymał ten tak nieangielski gest. Gwałtowną falą wróciła pamięć tamtego trudnego okresu, pogrążając go na moment we wspomnieniach przeżytej niedoli. Wróciwszy do chwili obecnej stwierdził, że Barrow wciąż przygląda mu się z zaciekawieniem i, zakłopotany, uświadomił sobie, że przez moment pozwolił mu zajrzeć w głąb swych uczuć.

— W każdym razie udało mi się nauczyć trochę po hiszpańsku — rzekł. Chciał w ten sposób wnieść nieco lżejszy ton do rozmowy, lecz Barrow dalej z powagą traktował jej przedmiot.

— Wielu oficerom nie chciałoby się zadawać sobie trudu — powiedział.

Jak płochliwy koń Hornblower wycofał się z rozmowy schodzącej na tory osobiste.

— Jest jeszcze inny aspekt sprawy Ferrolu — zauważył spieszenie.

— Jaki mianowicie?

Miasto ze swoimi urządzeniami bazy morskiej leży na drugim końcu długich i uciążliwych dróg poprzez przełęcz górskie lub Betanzos czy Yillalbę. Utrzymywanie blokowanej tam floty, zaopatrywanie jej drogą lądową w setki ton niezbędnych zapasów mogłoby stanowić dla Hiszpanów trudności nie do pokonania.

— Zna pan trochę tamtejsze drogi, kapitanie?

— Prowadzono mnie nimi, kiedy byłem jeńcem.

— Bonio jest teraz cesarzem, a Donowie jego pokornymi niewolnikami. Jeśli ktokolwiek mógłby ich zmusić do pilnowania własnych interesów, to tylko Bonio.

— Bardzo możliwe, sir. — Problem był bardziej politycznej natury niż żeglarskiej i czynienie dalszych uwag byłoby zarozumiałością.

— Wróciliśmy więc — Barrow mówił na pół do siebie — do punktu, w którym wciąż jesteśmy od dziewięćdziesiątego piątego, czekając, aby nieprzyjaciel wypłynął z portu i podjął walkę, a według pańskiej opinii, kapitanie, w sytuacji gorszej niż zwykle.

— To tylko moja opinia, sir — stwierdził spieszenie Hornblower.

Sprawy tego rodzaju były domeną admirałów i zajmowanie się nimi nie wychodziło młodym oficerom na zdrowie.

— Gdyby Calder porządnie przetrzepał skórę Ville-neuve'owi! — westchnął Barrow. — Nie mielibyśmy połowy naszych obecnych kłopotów.

Hornblower musiał coś powiedzieć, szybko wymyślić jakieś nieobowiązujące słowa, w których nie można by się było dopatrzeć krytyki admirała przez młodszego rangą oficera.

— Chyba tak, sir — rzekł.

Wiedział, że natychmiast po opublikowaniu wiadomości o bitwie pod przylądkiem Finisterre brytyjska opinia publiczna zakipi z oburzenia. Pod Camperdown, nad Nilem i pod Kopenhagą zostały odniesione druzgocące zwycięstwa. Gawiedź nie zadowoli się tą zaledwie potyczką, zwłaszcza że armia Bonapartego stoi nad brzegiem Kanału, gotowa do zaokrętowania, a los Anglii zależy od skutecznego operowania jej flotą. Nie wykluczone, że Caldera spotka ten sam los co Bynga. Może, jak Byng, zostać oskarżony, że nie dołożył wszelkich starań dla zniszczenia nieprzyjaciela. W niedalekiej przyszłości mogłoby łatwo dojść do politycznego wrzenia.

To stwierdzenie pociągnęło za sobą następną myśl: polityczne zamieszki mogłyby zmieść rząd, wraz z pierwszym lordem i może nawet sekretariatem — mężczyzna, z którym właśnie rozmawia, mógłby za miesiąc być zmuszony do szukania innej pracy (z czarnym znaczkiem przy swoim nazwisku). Sytuacja była skomplikowana, i Hornblower nagle zapragnął gorąco, żeby ta rozmowa się skończyła. Był bardzo głodny i straszliwie zmęczony. Odetchnął z ulgą, gdy w otwartych drzwiach ujrzał wchodzącego Dorsey'a.

Dorsey stanął na widok Barrowa.

— Sekretarz jest u jego lordowskiej wysokości — wyjaśnił ten ostatni. — Co pan tam ma, panie Dorsey?

— Sir, otworzyłem przesyłkę przejętą przez kapitana Hornblowera. Jest... jest ważna, sir.

Wzrok Dorsey'a przesunął się na Hornblowera i z powrotem.

— Sądzę, że kapitan Hornblower ma prawo zobaczyć rezultat swoich wysiłków — powiedział Barrow, a Dorsey z ulgą podszedł do stołu i położył na nim to, co przyniósł ze sobą.

Zaczął od sześciu krążków białego wosku ułożonych na tacy.

— Zrobiłem odbitki pieczęci — wyjaśnił. — Po dwie z każdej. Specjalista od ich wyrobu, przy Cheapside, potrafi na ich podstawie wykonać taką pieczęć, że nawet sam Bonio nie dostrzeże różnicy. Udało mi się także, sir, zdjąć oryginały, zbytnio ich nie uszkodzając... wie pan, rozgrzanym nożem.

— Świetnie — orzekł Barrow oglądając rezultaty pracy Dorsey'a. — Więc to są nowe pieczęcie nowego cesarstwa?

— Tak jest, sir. Lecz przesyłka... To zdobycz największa. Niech pan spojrzy tu, sir! I na to!

Podniecony stukał gruzłowatym palcem w papier. U dołu arkusza, zapisanego ustępami starannego pisma ręcznego, był zamaszty podpis. Położony niedbałą ręką, otoczony był kleksami atramentowymi z opornego pióra. Podpis był właściwie nieczytelny. Hornblowerowi udało się odcyfrować pierwsze litery, „Nap...”, bo reszta była jednym długim, ozdobnym zakrętasem.

— To pierwszy taki podpis, jaki dostał się w nasze ręce, sir — wyjaśnił Dorsey.

— Chodzi panu o to, że poprzednio zawsze podpisywał się „N. Bonaparte”? — spytał Hornblower.

— Po prostu „Bonaparte” — odrzekł Dorsey. — Mamy sto albo i tysiąc próbek jego podpisów, lecz ani jednej takiej jak ta.

— Jednakże nie przyjął cesarskiego stylu — mówił Barrow przyglądając się pismu. — W każdym razie jeszcze nie. Mówi o sobie „ja”, a nie „my”. O, tu, i tutaj.

— Niewątpliwie ma pan słuszność, sir — przytaknął Dorsey. — Nie dlatego, żebym znał francuski. Ale tu jest coś jeszcze, sir. I tu.

Nagłówek brzmiał „Palais des Tuileries” i „Gabinet Imperiale”.

— Czy to coś nowego? — spytał Barrow.

— O, tak, sir. Dotychczas nie nazywał go pałacem, a zamiast „Gabinetu Cesarskiego” był „Gabinet Pierwszego Konsula”.

— Jestem ciekaw, o czym mowa w liście — wtrącił Hornblower. Do tej chwili zajmowali się szczegółami technicznymi, jak ludzie osądzający książkę po oprawie, bez brania pod uwagę jej treści. Wziął list z rąk Dorsey'a i zaczął czytać.

— Pan czyta po francusku, sir? — zdziwił się Barrow.

— Tak — odparł Hornblower trochę bezceremonialnie, skoncentrowany na czytaniu. Nigdy dotąd nie czytał listu od cesarza.

List zaczynał się od słów „Monsieur le General Lauriston”. Pierwszy ustęp zawierał wzmianki na temat instrukcji przesłanych wcześniej przez ministerstwa marynarki i wojny. Drugi mówił o służbowej pozycji generała Lauristona i różnych jego podkomendnych. Zakończenie było bardziej kwieciste.

„Niech Pan rozwiesi moje flagi nad tym pięknym kontynentem. A jeśli Brytyjczycy Pana zaatakują i będzie miał Pan pecha, proszę mieć zawsze w pamięci trzy rzeczy: aktywność, koncentrację sił i zdecydowaną wolę zginąć sławnie. Są to ważne zasady prowadzenia wojny, które przyniosły mi sukcesy we wszystkich moich działaniach. Śmierć jest niczym, ale żyć pokonanym i w niesławie to umierać każdego dnia na nowo. Niech się Pan nie martwi o swą rodzinę. Proszę myśleć tylko o tej części mojej ojcowizny, którą ma Pan odzyskać”.

— To brzmi jak rozpaczliwa rada, sir — zauważył Hornblower. — Każe mu walczyć do ostatka.

— Ani słowa, że wysłała mu posiłki — zgodził się Barrow. — Raczej wprost przeciwnie. A szkoda.

Wysłanie posiłków flocie w Indiach Zachodnich wymagałoby od Bonapartego wystawienia części jego sił morskich na ryzyko.

— Boniowi potrzebne jest zwycięstwo najpierw tutaj, sir — zauważył Hornblower.

— Tak.

Hornblower dostrzegł na twarzy Barrowa odbicie swego gorzkiego uśmiechu. Zwycięstwo odniesione przez Bonapartego na wodach Kanału oznaczałoby podbicie Anglii i automatyczny upadek Indii Zachodnich i Wschodnich oraz Kanady i Przylądka, całego Imperium Brytyjskiego, oznaczałoby zwrot w losach całej ludzkości.

— Ale to... — Barrow pomachał listem — to może odegrać swoją rolę.

Hornblower znał już wagę informacji negatywnej, więc przytaknął skinieniem głowy. W tym momencie do pokoju wrócił Marsden z papierami w ręku.

— O, pan tu, panie Dorsey — powiedział. — To jest dla jego królewskiej mości w Windsorze. Proszę dopilnować, żeby kurier ruszył w drogę w ciągu piętnastu minut. To do przetelegrafowania do Plymouth. I to też. A to do Portsmouth. Niech zaraz siadają do sporządzania kopii.

Interesującą rzeczą było oglądać Marsdena w akcji. Jego głos nie zdradzał ani śladu podniecenia, a zdania, chociaż padały bez przerwy jedno za drugim, nie płynęły bezładnym potokiem. Każde było wypowiedziane wyraźnie, zupełnie beznamiętnym tonem. Papiery, które Marsden przyniósł ze sobą, mogły być niezmiernej wagi — i prawie na pewno były — lecz Marsden

zachowywał się tak, jakby wręczał formularze związane z jakąś mało ważną formalnością. Przesuwając chłodne spojrzenie na Barrowa prześliznął się nim tylko po Hornblowerze, nie dając mu sposobności przechwycenia go.

— Żadnych dalszych wiadomości, panie Barrow?

— Żadnych, panie Marsden.

— Potwierdzenie z Plymouth nie nadejdzie przed ósmą jutrzejszego ranka — powiedział Marsden spoglądając na zegarek.

Przy dobrej pogodzie i świetle dziennym telegraf mógł przekazać wiadomość z Plymouth w piętnaście minut — Hornblower widział wysokie kolumny semaforów w czasie swej ostatniej podróży. W ubiegłym roku wyszedł na ląd pod Brestem i spalił tam podobne urządzenie. Lecz na dostarczenie pisemnej wiadomości wiezionej rozstawnymi końmi przez kurierów (częściowo w ciemnościach nocy) potrzeba dwudziestu trzech godzin. Jemu samemu, podróżującemu kareta pocztową, przebycie tego odcinka drogi zajęło godzin czterdzieści. Teraz wydawało mu się, że były to nie godziny, lecz tygodnie.

— Panie Marsden, przesyłka przejęta przez kapitana Hornblowera jest nader interesująca — odezwał się Barrow. Ton jego głosu był jakby echem pozornej obojętności głosu Marsdena. Hornblowerowi trudno było zdecydować, czy było to naśladowanie, czy parodia.

Marsdenowi wystarczyło kilka chwil na przeczytanie listu i uchwycenie najważniejszych punktów jego treści.

— Teraz więc moglibyśmy podrobić list od jego cesarskiej i królewskiej mości cesarza Napoleona — zauważył. Uśmiech towarzyszący tym słowom był równie bez wyrazu, co ton jego głosu.

Hornblower doświadczył dziwnego uczucia, prawdopodobnie wywołanego ostania uwagą Marsdena. W głowie kręciło mu się z głodu i zmęczenia, a tu przenoszono go w świat nierealny. Nierealność tę czyniło jeszcze bardziej nierealną nacechowane zimną krwią zachowanie dwóch dżentelmenów, z którymi konferował tu na osobności. W mózgu miał zamęt. Rodziły się tam niesamowite, obłąkańcze pomysły, nie bardziej jednak obłąkane niż świat, w którym się znalazł — świat, gdzie jedno słowo wystarczało, aby wysłać w morze całe floty, a korespondencja cesarska mogła być przedmiotem żartów. Uznając w duchu to, co kiełkowało w jego umyśle za szaleńczy nonsens, równocześnie stwierdzał, że pchają mu się do głowy uzupełnienia pomysłu, logiczne elementy układające się w niesamowitą całość.

Marsden patrzył na niego jakby przesywając go na wskroś swymi chłodnymi oczyma.

— Niewykluczone — rzekł — że zrobił pan wielką przysługę swemu królowi i ojczyźnie. — Słowa te można by zinterpretować jako pochwałę, ale w podobny sposób Marsden, będąc sędzią, oznajmiłby przestępcy skazujący wyrok.

— Mam nadzieję, że tak, sir — odparł Hornblower.

— A właściwie czemuż to pan ma taką nadzieję?

Pytanie to zbiło Hornblowera z tropu, bo przecież odpowiedź na nie była tak oczywista.

— Ponieważ jestem oficerem królewskim, sir — odpowiedział.

— A nie dlatego, kapitanie, że liczy pan na nagrodę?

— Nie myślałem o nagrodzie, sir. To był najzwyczajniejszy przypadek — odparował Hornblower.

Ta szermierka słowna była trochę irytująca. Może taka gra bawiła Marsdena. Może lata wylewania kubłów zimnej wody na oczekiwania tylu ambitnych oficerów domagających się awansów i stanowisk sprawiły, że weszło mu to w nawyk.

— Szkoda, że w tej przesyłce nie ma nic naprawdę ważnego — powiedział. — Znaleźliśmy w niej tylko wyjaśnienie tego, czego się już domyślaliśmy, że Bonio nie zamierza wysłać posiłków na Martynikę.

— Ale mając ten list jako wzór... — zaczął Hornblower, i urwał, zły na siebie. Jego bezładne majaczenia mogłyby się okazać jeszcze większym nonsensem po ubraniu ich w słowa.

— Mając to jako wzór? — powtórzył Marsden.

— Proszę nam powiedzieć, kapitanie, co pan sugeruje — zachęcał Barrow.

— Nie mam prawa, panowie, marnować waszego czasu — wyjąkał Hornblower. Stał na skraju przepaści i daremnie usiłował się cofnąć.

— Zabił nam pan klina, kapitanie — dodał Barrow. — Proszę, niech pan mówi dalej.

Nie było innego wyjścia, musiał mówić.

— Myślę o rozkazie od Bonia do Villeneuve'a, nakazującym mu za wszelką cenę wypłynąć z Ferrolu. Musiałby zostać podany jakiś powód — powiedzmy, że Decres wymknął się z Brestu i będzie czekał na spotkanie z nim opodal przylądka Clear. Tak żeby Villeneuve poczuł się zmuszony opuścić port natychmiast — w taki czy inny sposób. Bitwa z Villeneuve'em jest tym, czego Anglii potrzeba najbardziej — a to by do niej doprowadziło.

Teraz już nie było odwrotu. Czuł dwie pary oczu utkwionych w swojej twarzy.

— Rozwiązanie idealne, kapitanie — odezwał się Marsden. — Gdyby tylko było możliwe do zrealizowania. Jak wspaniale byłoby móc dostarczyć Villeneuve'owi taki rozkaz.

Sekretarz Zarządu Admiralicji otrzymywał pewnie co dzień wariackie pomysły unicestwienia Francuskiej Marynarki Wojennej.

— Bonio z pewnością będzie dosyć często wysyłał rozkazy z Paryża — ciągnął Hornblower. Postanowił nie kapitulować. — Jak często pan, sir, przekazuje z tego biura rozkazy do głównodowodzącego? Na przykład do admirała Cornwallisa? Raz w tygodniu, sir? A może częściej?

— Co najmniej raz w tygodniu — przyznał Marsden.

— Myślę, że Bonio będzie to robił częściej.

— Z pewnością — zgodził się Barrow.

— I te rozkazy pójdą lądem. Bonio w żadnym wypadku nie zaufałby poczcie hiszpańskiej. Czyli że oficer... francuski oficer, któryś z cesarskich *aides de camp*[17] będzie pędzić z rozkazami przez całą Hiszpanię, od francuskiej granicy do Ferrolu.

— Tak? — To, co mówił Hornblower, zaciekało Marsdena, na tyle przynajmniej, że to słówko zabrzmiało pytająco.

— Panie Marsden — wtrącił się Barrow — kapitan Hornblower przez ostatnie dwa lata zajmował się zbieraniem informacji z francuskiego wybrzeża. Jego nazwisko wciąż się powtarzało w korespondencji Cornwallisa.

— Wiem o tym, panie Barrow — odparł Marsden tonem, w którym można się nawet było dopatrzeć irytacji z powodu przerwania wypowiedzi Hornblowera.

— List sfalszowany — kończył swoją myśl Hornblower. — W zacisznym miejscu na hiszpańskim wybrzeżu Zatoki Biskajskiej zostaje dyskretnie wysadzony oddziałek desantowy złożony z ludzi udających francuskich albo hiszpańskich urzędników. Ludzie ci posuwają się wolno ku granicy. W przeciwnym kierunku podążają kolejni kurierzy z rozkazami dla Villeneuve'a. Schwytać jednego z nich... może go zabić albo — przy maksimum szczęścia — zastąpić wieziony przez niego rozkaz sfalszowanym. Czy też ktoś z oddziałku desantowego zawraca, udając francuskiego oficera, i dostarcza fałszywy list Villeneuve'owi.

To był cały plan, fantastyczny, a jednak... a jednak... możliwy przynajmniej w minimalnym stopniu. A w każdym razie nie tak zdecydowanie nierealny.

— Kapitanie, powiedział pan, że zna pan te hiszpańskie drogi? — spytał Barrow.

— Tak, trochę, sir.

Odwracając się po tych słowach od Barrowa Hornblower stwierdził, że spojrzenie Marsdena jest dalej utkwione w jego twarzy.

— Nie ma pan jeszcze czegoś do dodania, kapitanie? Z pewnością ma pan.

Może to była ironia, może Marsden powiedział to, aby go skłonić do zrobienia z siebie jeszcze większego durnia. Lecz było tyle rzeczy po prostu oczywistych, o których nie wspomniał. Mimo

zmęczenia jego umysł wciąż był w stanie poradzić sobie z nimi pod warunkiem, że będzie miał chwilę czasu na uporządkowanie myśli.

— Panowie, to jest okazja. W obecnej chwili Anglia ponad wszystko potrzebuje zwycięstwa na morzu. Czy potrafimy docenić jego znaczenie? Czy potrafimy? Położyłoby ono kres knowaniom Bonia. I wielce ulżyłoby w trudach blokady. Co dalibyśmy za taką szansę?

— Miliony — powiedział Barrow.

— A czym ryzykujemy? Życiem dwóch, może trzech agentów. Tylko tyle stracimy, jeśli im się nie powiedzie. Groszowy los na loterii. Zysk wprost nie do obliczenia przy ryzyku niewielkiej straty.

— Bardzo pan elokwentny, kapitanie — zauważył Marsden wciąż tym samym bezbarwnym tonem.

— Nie leżało w mojej intencji popisywać się elokwencją — stwierdził Hornblower i poczuł się z lekka zaskoczony, uprzytomniwszy sobie, jak wiele prawdy było w tym oświadczeniu.

Nagle wezbrała w nim złość na siebie i na obu swych rozmówców. Nierozważnie pozwolił się wyciągnąć na zwierzenia, dał się wziąć za jednego z tych pomyślników z ptasimi mózdkami, dla których Marsden musi czuć głęboką pogardę. W rozdrażnieniu podniósł się z krzesła, lecz w ostatniej chwili opanował się, nie chcąc pogorszyć opinii o sobie przez okazanie irytacji. Lepiej będzie zachować się oficjalnie. Przydałoby się coś, co by sprowadziło jego wypowiedź do poziomu uprzejmej, bez większego znaczenia rozmowy. Ponadto musi uprzedzić grożące mu nieuchronnie odprawienie, jeśli chce zachować choć trochę szacunku dla samego siebie.

— Panowie, zająłem zbyt wiele waszego cennego czasu — rzekł.

Mimo zmęczenia natychmiast odczuł wyraźną przyjemność, że w ten sposób pierwszy uczynił krok, że dobrowolnie rezygnuje z towarzystwa sekretarza Admiralicji i jego zastępcy, gdy tuziny oficerów niższych stopni gotowe byłyby czekać godzinami i dniami na rozmowę z nimi. Lecz Marsden zwrócił się do Barrowa:

— Panie Barrow, jak się nazywa ten człowiek z Ameryki Południowej, którego widuje się ostatnio we wszystkich poczekalniach? Można go spotkać wszędzie... W zeszłym tygodniu był nawet na obiedzie z Camberwellem u White'a.

— Ten, co chce wszcząć rewolucję, sir? Ja sam spotkałem go kilkakrotnie. To... to Miranda, sir, czy Mirandola albo coś w tym rodzaju.

— Miranda! Tak się nazywa. Sądzę, że możemy z niego skorzystać, jeśli zajdzie potrzeba.

— Bez trudu, sir.

— Tak. A w więzieniu Newgate siedzi Claudius. O ile się orientuję, panie Barrow, był pańskim przyjacielem.

— Claudius, sir? Znałem go, jak wszyscy.

— Zdaje się, że za tydzień ma stanąć przed sądem?

— Tak, sir. Zostanie powieszony w przyszły poniedziałek. Ale czemu pan o niego pyta, panie Marsden?

Hornblowerowi sprawił pewną przyjemność widok dezorientacji na twarzy jednego z dwóch jego rozmówców, wprawdzie tylko drugiego sekretarza, i fakt, że chwilowo nie dostał odpowiedzi na swoje pytanie.

— Nie ma zatem czasu do stracenia. — Marsden zwrócił się do Hornblowera, który czekał w zakłopotaniu, zdawszy sobie sprawę, że wskutek tej zwłoki jego odejście straciło sporo ze swego dramatyzmu. — Portier zna pański adres, kapitanie?

— Tak.

— Więc przyślę niedługo po pana.

— Tak jest, sir.

Dopiero zamknąwszy za sobą drzwi Hornblower poczuł złość na siebie za użycie tego czysto morskiego zwrotu w stosunku do cywila. Lecz nie złościł się długo przy tylu sprawach, które jego znużony umysł musiał jeszcze przemyśleć. Był głodny i bardzo potrzebował snu. Mało go obszedł jakiś nieznaną Miranda czy ów tajemniczy Claudius z więzienia w Newgate. Najpierw musi najeść się do syta, a potem spać, spać, spać. Ale musi też napisać do Marii.

Rozdział IX

Hornblower ocknął się zgrzany jak mysz. Słońce prażyło przez okno i w jego pokoiku na poddaszu było gorąco jak w piecu. Sen dopadł go, gdy leżał przykryty kocem, toteż obudził się mocno spocony. Poczul pewną ulgę po zrzuceniu z siebie koca. Zaczął prostować się ostrożnie, widać spał bez zmiany pozycji, dosłownie jak kłoda. Wciąż odczuwał ból w kilku miejscach, co mu przypominało, gdzie się znajduje i jak się tu dostał. Jego sposób na sprowadzenie snu zadziałał dopiero po jakimś czasie. A teraz jest pewnie dobrze po wschodzie słońca, musiał spać dziesięć albo i dwanaście godzin.

Jakież to dziś dzień tygodnia? Żeby na to odpowiedzieć, trzeba się było cofnąć w przeszłość. W niedzielę jechał kareta pocztową — pamiętał bicie dzwonów wszędzie po drodze, a w Salisbury wiernych, którzy wyszedłszy z nabożeństwa zgromadzili się wokół karety. Do Londynu przybył zatem w poniedziałek rano, czyli wczoraj — aż trudno w to uwierzyć — a dziś jest wtorek. Z Plymouth — gdzie przed samym odjazdem widział się z Marią — wyruszył w sobotę po południu. Nastrój miłego odprężenia zaczął ustępować napięciu. Czuł nawet naprężanie się gotowych do działania mięśni, w miarę jak myślami sięgał dalej wstecz — to właśnie w piątek we wczesnych godzinach rannych „Princess” odpłynęła od „Gučpe”, zostawiając francuza w stanie niezdatnym do żeglugi. A w czwartek wieczorem wdrapywał się na pokład „Gučpe” po zwycięstwo lub śmierć,

przy czym śmierć była bardziej prawdopodobna niż zwycięstwo. To było w ubiegły czwartek wieczorem, a dziś był zaledwie wtorek rano.

Chciał odpędzić od siebie te przykre wspomnienia, ale napięcie znów wróciło na myśl, że — o czym całkiem zapomniał — zostawił w Admiralicji koc wzięty z kajuty francuskiego kapitana, żeby owinąć zdobyte dokumenty. Pewnie wczoraj wieczorem znalazł go jakiś biedny urzędnik i uradowany zabrał do domu. I nie jest to żaden powód, żeby się denerwować — tak, ale pod warunkiem, że nie dopuści do siebie obrazu głowy francuskiego kapitana roztrzaskanej jak zmiażdżony włoski orzech.

Zmusił się do wsłuchania w dobiegające z zewnątrz uliczne odgłosy ł turkot kół pojazdów, co mu pozwoliło z powrotem zapaść w bezruch i w stan półświadomości. Dopiero w jakiś czas później, jeszcze senny, usłyszał na ulicy dźwięk podków konia biegnącego kłusem. Temu odgłosowi nie towarzyszył turkot kół. Stukot kopyt ucichł pod jego oknem i Hornblower domyślił się, kogo przywiózł wierzchowiec. Gdy w koszuli wstawał z łóżka, na schodach rozległy się kroki i ktoś mocno zastukał do drzwi pokoju.

— Kto tam?

— Goniec z Admiralicji.

Hornblower odsunął zasuwkę. W drzwiach stanął posłaniec w granatowym mundurze, skórzanych spodniach i długich butach. Pod pachą trzymał melonik z czarną wstążką. Zza jego pleców wyglądała kretyńska twarz niedorozwiniętego syna gospodyni.

— Kapitan Hornblower?

— Tak.

Dla dowódców okrętów wojennych przyjmowanie wiadomości w samej koszuli jest rzeczą całkiem zwykłą. Hornblower pokwitował odbiór pisma podanym mu ołówkiem i otworzył je.

Sekretarz Lordów Komisarzy Admiralicji będzie bardzo zobowiązany, jeśli kapitan Horatio Hornblower zechce przybyć do Admiralicji dziś, we wtorek, na godzinę jedenastą rano.

— Która teraz godzina? — spytał Hornblower.

— Trochę po ósmej, sir.

— W porządku. — Hornblower nie mógł się jednak oprzeć chęci postawienia jeszcze jednego pytania: — Czy Admiralicja przesyła wszystkie swoje pisma przez konnego?

— Tylko te na odległość ponad milę, sir. — Goniec pozwolił sobie dać bardzo oględnie wyraz swojej opinii o oficerach zatrzymujących się na niewłaściwym brzegu rzeki.

— Dziękuję. To wszystko.

Odpowiedź nie była potrzebna. Można było z góry przyjąć, że będzie potwierdzająca, jeśli sekretarz Admiralicji pisze, że będzie bardzo zobowiązany. Hornblower zabrał się do golenia i ubierania.

Wynajętą łódką popłynął przez rzekę, choć kosztowało go to dodatkowe trzy półpensówki. Najpierw tłumaczył się przed sobą, że to dlatego, iż chce wysłać z poczty list do Marii, lecz wreszcie z rozbawieniem przyznał w duchu, że uległ pokusie znalezienia się na wodzie po trzech dniach pobytu na lądzie.

— Ten Calder, kapitanie, pozwolił Francuzom dać nogę — odezwał się przewoźnik między jednym powolnym pociąganiem śrubówek a drugim.

— Za dzień albo dwa dowiemy się czegoś więcej na ten temat — odparł oględnie Hornblower.

— Miał ich i dał im uciec. Nelson by tak nie zrobił.

— Nie wiadomo, co by zrobił lord Nelson.

— Bonio depcze nam po piętach, a Villoun-noove[18] w morzu! Ten Calder! Powinien się wstydzić. Słyszałem o admirale Byngu[19] i jak go rozstrzelali. Powinni to samo zrobić z Calderem.

Była to pierwsza spostrzeżona przez Hornblowera oznaka oburzenia wznieconego wiadomością o bitwie pod przylądkiem Finisterre. Gdy Hornblower wszedł do „Głowy Saracena”, żeby zjeść śniadanie, właściciel zasypał go pytaniami, a dwie służące przystały i z zaciekawieniem przysłuchiwały się rozmowie, aż ich pani kazała im wracać do swojej roboty.

— Chciałbym rzucić okiem na gazetę — powiedział Hornblower.

— Gazetę, sir? Już podaję, sir.

W rubryce „Nadzwyczajne Wiadomości”, na honorowym miejscu na pierwszej stronie, zobaczył informację niezbyt zasługującą na ten szumny nagłówek, bo było to złożone zaledwie z ośmiu wierszy streszczenie pierwszej depeszy. Pełny raport Caldera, wieziony do Londynu rozstawnymi końmi przez kurierów przebywających galopem swoje dziesięć milowe odcinki drogi, dopiero teraz chyba dociera do Admiralicji. Ważny był komentarz redakcyjny, bo „Morning Post” wyraźnie miał na sprawę taki sam pogląd jak przewoźnik i właściciel gospody. Calder został postawiony na pozycji z zadaniem pochwylenia Villeneuve'a; dotarł na miejsce dzięki dobremu zaplanowaniu operacji przez Admiralicję, ale nie wykonał specjalnego zadania, którym było zniszczenie Villeneuve'a po doprowadzeniu przez Admiralicję do spotkania obu flot.

Villeneuve przyplłynął z Indii Zachodnich, wymknąwszy się Nelsonowi, który doszedł aż tam w pościgu za nim, i przebił się przez barierę, jaką Anglia próbowała zagrozić mu drogę powrotu. Teraz dotarł do Ferrolu, gdzie będzie mógł wysadzić swoich chorych na ląd i odnowić zapasy słodkiej wody, aby móc znów wyjść w morze i zagrozić Kanałowi. Patrząc na sprawę od tej strony można było uznać to za zdecydowany sukces Francuzów. Hornblower nie wątpił, że Bonaparte

rozdmuchać go do rozmiarów druzgocącego zwycięstwa.

— Tak, sir. I cóż pan sądzi, sir? — spytał właściciel gospody.

— Wyrzyj przez drzwi i powiedz mi, czy Bonio nie maszeruje przypadkiem ulicą — odpowiedział Hornblower.

O stanie umysłu gospodarza świadczył fakt, że istotnie uczynił ruch w stronę drzwi, zanim uświadomił sobie, co robi.

— Lubi pan pożartować, sir. Właściwie nie zostało nic innego, jak tylko pożartować. Te dyskusje o morskiej taktyce i strategii, prowadzone przez nie znających się na rzeczy cywilów, przypominały trochę Hornblowerowi spory mieszkańców gibbonowskiego[20], chyłącego się ku upadkowi Rzymu na temat istoty Trójcy Świętej. Ale to właśnie wrzawa podniesiona przez lud wymusiła wykonanie wyroku śmierci na Byngu. Życie Caldera może być w poważnym niebezpieczeństwie.

— Dziś mam Boniowi najbardziej za złe, że przez niego nie mogę spokojnie zjeść śniadania — powiedział Hornblower.

— Tak, sir. W tej minutce, sir.

Właściciel gospody oddalił się zaaferowany, a Hornblower zauważył teraz jeszcze jedno nazwisko na pierwszej stronie „Morning Post”. Pisano tam o doktorze Claudiusie. Czytając ten fragment Hornblower przypomniał sobie, czemu to nazwisko, wymienione przez Marsdena, wydało mu się jakby znajome. O Claudiusie pisano już wcześniej w gazetach, których stare numery Hornblower otrzymywał jeszcze w czasie blokady Brestu. Był to duchowny, autentyczny doktor teologii, a zarazem główna osoba najgłośniejszego skandalu, towarzyskiego i finansowego, w historii Anglii. Wkręcił się do londyńskich kół towarzyskich w nadziei uzyskania dla siebie biskupstwa, ale chociaż stał się człowiekiem dosyć popularnym, czy raczej znanym, swego celu nie osiągnął. Straciwszy nadzieję na wyższe stanowisko w hierarchii kościelnej, zszedł na drogę przestępczą. Założył szeroko rozgałęzioną organizację specjalizującą się w podrabianiu weksli. Jego falsyfikaty były tak doskonałe, a sposób, w jaki puszczał je w obieg, tak przebiegły, że przez długi czas proceder ten nie wychodził na jaw.

Obrót handlowy między Anglią a resztą świata odbywał się przeważnie za pomocą weksli. Claudius skorzystał z nieuniknionych długich przerw między wystawianiem weksli a przedstawianiem ich do zapłaty, aby włączyć swoje falsyfikaty w obieg. Zdradził go tylko błąd ze strony współnika. Fałszywe weksle wystawione w Bejrucie czy Madrasie — tak doskonałe, że nawet ich ofiary nie znajdowały podstaw, aby ich nie honorować — wciąż jeszcze napływały, i w świecie finansowym wrzało. Sądząc po tym ustępie w gazecie, podobny wstrząs przeżywały wysokie sfery towarzyskie, które dopuściły fałszerza do swych kręgów. Teraz Claudius siedzi w Newgate i grozi mu rozprawa sądowa. Czy miał jakieś znaczenie fakt, że Marsden zainteresował się tym człowiekiem? Hornblowerowi trudno w to było uwierzyć.

W tej chwili uwagę jego zwróciło jego własne nazwisko wymienione w innym ustępie,

zatytułowanym „Plymouth”. Po wzmiankach o wejściach i wyjściach okrętów następowało zdanie: „Kapitan Horatio Hornblower, ostatnio ze słupa JKM «Hotspur», zszedł dziś rano na ląd z «Princess», barki dostarczającej okrętom wodę, i kareta pocztową wyruszył natychmiast do Londynu”.

Śmieszne, żeby taki drobiazg poprawiał smak wieprzowiny ze szpinakiem i smażonymi jajkami, postawionej przed nim przez właściciela gospody, ale jednak tak było. Dzięki temu wchodził do Whitehall w dobrym humorze. Marsden musi być przygotowany do rozmowy z nim na temat awansu na kapitana i dania mu jakiegoś okrętu — im wcześniej ta ważna sprawa zostanie załatwiona, tym lepiej. Teraz, gdy Cornwallis opuścił swój porządek admirałski, jego rekomendację mogli tu łatwo odłożyć na półkę czy w ogóle puścić w zapomnienie dla zrobienia miejsca jakiemuś faworytowi, bo Hornblower nie miał już nikogo na wysokim stanowisku, kto by mu sprzyjał.

W jasnym świetle dnia, po dobrym odpoczynku nocnym i mając pełny żołądek, Hornblower uznał za rzecz nieprawdopodobną, żeby Marsden mógł myśleć o podejmowaniu jakichś dalszych działań w związku z szaleńczym planem wysłania fałszywych rozkazów do Villeneuve'a. A jednak... Nie było to tak całkiem nieprawdopodobne, a i plan nie był aż tak szalony. Fałszerstwo musiałoby być doskonałe, a podmiana listu nie zauważona. Ponieważ Ferrol jest oddalony od Paryża o co najmniej dziesięć dni jazdy kuriera, Villeneuve nie miałby możliwości zwrócenia się do stolicy o potwierdzenie. A że nie do pomyślenia było, żeby rząd brytyjski poszedł na coś takiego, powodzenie próby fałszerstwa — jeśli zostanie podjęta — stałoby się tym bardziej możliwe.

Oto i Admiralicja. Tego ranka z pewną siebie miną mógł rzucić do portiera: „Jestem umówiony z panem Marsdenem”, ku niezmiernej zazdrości dwójki petentów starających się o wpuszczenie. Mógł też napisać „umówiony” na formularzu, podając powód przybycia. Kazano mu zostać w poczekalni, ale nie więcej niż dziesięć minut później, a w trzy minuty po wydzwonieniu jedenastej przez zegar, został wezwany przed oblicze Marsdena. Był tam też Barrow i Dorsey. Na ich widok Hornblower pomyślał, że temat spotkania może obejmować to, co dotąd wydawało mu się nieprawdopodobne.

Ciekawa rzecz, że pierwszy sekretarz zechciał okazać się na tyle ludzki, żeby chwilę czasu poświęcić wstępnej rozmowie, i dopiero potem przejść do rzeczy.

— Jestem pewien, kapitanie, że pochlebi panu wiadomość, iż jego lordowska wysokość ma w gruncie rzeczy taką samą opinię o Ferrołu jak pan.

— Bardzo to dla mnie pochlebne, sir. — Lord Barham był nie tylko pierwszym lordem Admiralicji, lecz przez wiele lat sprawował urząd głównego rewidenta marynarki wojennej, a jeszcze wcześniej, jako admirał, dowodził flotą okrętów. To na jego rozkaz Calder zagroził drogę Villeneuve'owi.

— Jego lordowska wysokość był równie zaskoczony co mile zdziwiony znajomością tamtejszych warunków przez pana Barrowa — ciągnął Marsden. — Naturalnie pan Barrow nie uznał za stosowne powiedzieć, że dowiedział się tego wszystkiego od pana.

— Naturalnie że nie, sir — zgodził się Hornblower. I zaraz zebrał się na odwagę konieczną do

wypowiedzenia tego, co leżało mu na sercu. — Lecz może wobec tego jego lordowska wysokość przychylnie rozważy rekomendację admirała Cornwallisa dotyczącą mojego stopnia kapitańskiego?

Ma więc już to za sobą. Lecz twarze obu sekretarzy nawet nie drgnęły.

— W tej chwili mamy pilniejszą sprawę — odparł Marsden. — Każemy tu komuś czekać. Dorsey, niech pan będzie łaskaw wprowadzić księdza.

Dorsey przeszedł przez pokój i otworzył drzwi. Po chwili kaczkowatym chodem wszedł przez nie barczysty mężczyzna niskiego wzrostu. Zanim drzwi się zamknęły, Hornblowerowi mignął w głębi żołnierz piechoty morskiej. Przybysz miał na sobie czarną sutannę i księżowską perukę, lecz duchowny strój klócił się z przeszło półcalowym czarnym zarostem na policzkach. Dopiero spojrzawszy ponownie Hornblower zauważył, że ksiądz ma ręce skute kajdankami z łańcuszkiem biegnącym od nich do jego pasa.

— Oto wielebny doktor Claudius — powiedział Marsden. — Właśnie przybył z Newgate. Użyczono nam jego usług dzięki uprzejmości sekretarza stanu do spraw wewnętrznych. Przynajmniej na pewien czas.

Claudius obrzucił ich spojrzeniem, a zmiany w wyrazie jego twarzy mogłyby stanowić interesujący materiał do studium psychologicznego. W jego czarnych, śmiało patrzących oczach taił się spryt i przebiegłość. Obok strachu na jego pełnym obliczu malowała się beczelność i — rzecz najbardziej interesująca — również ciekawość, której nie potrafił stłumić nawet cień wiszącej nad nim śmierci. Ale Marsden nie tracił czasu.

— Claudius, został pan sprowadzony tu dla dokonania fałszerstwa, jeśli pan to potrafi.

Przez nalaną twarz Claudiusa przemknął króciutki błysk zrozumienia. Zaraz potem twarz znieruchomiała, co wywołało podziw Hornblowera.

— Zarówno uprzejmość, jak i formy towarzyskie — odezwał się Claudius — wymagają, aby zwracał się pan do mnie per „Doktorze”. Jeszcze nie zdjęto ze mnie szat duchownych i ciągle jestem doktorem teologii.

— Bzdury, Claudius — zachnął się Marsden.

— Nie powinienem był oczekiwać uprzejmości od sług.

Claudius miał nieprzyjemny głos, szorstki i chrapliwy, co tłumaczyłoby jego niepowodzenie w staraniach o biskupstwo. Z drugiej jednak strony przystąpił do ataku już w czasie tej pierwszej wymiany zdań — list od Bonapartego zalecał nieoczekiwany kontratak nawet przy słabszych siłach, lecz prowadzony z całą energią. Jednakże tu, w Admiralicji, przeciwnikiem dowodził mistrz taktyki.

— W porządku, doktorze — odrzekł Marsden. — Powaga tytułu doktora teologii wymaga całego należnego mu od nas respektu. Panie Dorsey, proszę podać doktorowi ten dokument, z pozdrowieniami od lordów Admiralicji, i spytać go, czy sądzi, że ze swym ogromnym doświadczeniem potrafiłby napisać podobny.

Claudius ujął pismo w skute kajdankami dłonie. W czasie czytania czarne brwi zbiegły mu się w kreskę.

— Pochodzenia francuskiego. To oczywiste. Niezależnie od języka napisany jest typowym pismem ręcznym francuskich urzędników. W czasie ostatniego okresu pokoju mnóstwo przykładów tego pisma przeszło przez moje ręce.

— A podpis?

— Interesująca robota. Położony, rzekłbym, indyczym piórem. Potrzebowałbym co najmniej godzinę na wprawki, żeby móc go odtworzyć. Zaś te pieczęcie...

— Wykonałem odciski — wtrącił Dorsey.

— To widać. Lecz zostały zdjęte z papieru z przyzwoitą starannością. Muszę panu pogratulować opanowania tej trudnej sztuki. Otóż...

Claudius podniósł wzrok znad papieru i potoczył po zebranych badawczym spojrzeniem.

— Panowie rzekł — na ten temat miałbym znacznie więcej do powiedzenia. Ale zanim to uczynię, muszę dostać zapewnienie, że moje usługi zostaną wynagrodzone.

— Już ma pan to zapewnienie — rzekł Marsden. — Pański proces został przesunięty o tydzień.

— Tydzień? Miewałem kazania na temat szybkiego upływu czasu między jedną niedzielą a drugą. Nie, panowie. Chcę żyć. Czuję śmiertelną odrazę do szubienicy i nie mówię tego żartem.

Sytuacja stała się dramatycznie napięta. Hornblower popatrzył po twarzach czterech mężczyzn — Marsdena, z leciutkim cieniem cynicznego rozbawienia, Barrowa — z wyrazem pewnej konsternacji, Dorsey'a, obojętną, jak przystało podwładnemu, i Claudiusa, ostrożnie przenoszącego wzrok na wszystkich obecnych po kolei. Przypominał skazańca na rzymskiej arenie patrzącego na lwy zacieśniające krąg wokół niego. Pierwszy odezwał się Barrow, zwracając się do Marsdena.

— Wezwę straż, sir, dobrze? Nie potrzebujemy go.

Napięcie wciąż trwało.

— Wezwijcie straż! — powtórzył Claudius za Barrowem potrząsając skutymi dłońmi. Kajdanki wydały metaliczny dźwięk. — Zabierzcie mnie i powieście jutro. Jutro? Za tydzień? Jeśli mam wisieć, to im prędzej, tym lepiej. Wy, panowie, pewnie się nigdy nie dowiecie, ile prawdy w tym, co mówię. Mam w sobie tyle miłosierdzia, że pozwala mi to mieć nadzieję, iż nigdy do tego nie dojdzie. Ale to prawda. Wieszajcie mnie jutro.

Hornblowerowi trudno było zdecydować, czy Claudius szarżuje, rzucając na szalę tydzień życia, który mógłby mu przynieść nawet ulaskawienie. Tak czy owak poczuł zazdrosny podziw dla tego szkaradnego człowieka, samotnego i bezbronnego, który — tocząc ostatnią walkę — nie chce

uciec się do zwykłego błagania o łaskę, a przecież taka prośba skierowana do Marsdena mogłaby być jego ostatnią skuteczną prośbą w życiu. I wtedy przemówił Marsden.

— Nie będzie pan wisiał — rzekł.

Od chwili gdy wprowadzono Claudiusa, niebo zaczęło zasnuwać się chmurami. Po kilku dniach słonecznej letniej pogody nad doliną Tamizy zbierało się na burzę. Po słowach Marsdena rozległo się niskie dudnienie grzmotu, który w uszach Hornblowera zabrzmiał jak grom w *Iliadzie* potwierdzający przysięgę Zeusa.

Claudius popatrzył przenikliwie na Marsdena.

— To znaczy, że sprawa uzgodniona, a ja udostępnię panom wszelkie korzyści z mego doświadczenia — powiedział.

Hornblower znów poczuł ukłucie zazdrosnego podziwu — mały człowieczek zadowolili się czterema prostymi słowami wyrzeczonymi przez Marsdena, nie bawił się w wymuszanie formalnego przyrzeczenia, jak dżentelmen od razu przyjął słowo dżentelmena. Niewykluczone, że pobudził go do tego potwierdzający łoskot pioruna.

— Doskonale — rzekł Marsden — i Claudius natychmiast przystąpił do rzeczy. Tylko trochę zdławiony głos i cień wahania towarzyszący pierwszym słowom zdradzały śmiertelne napięcie, jakie odczuwał przed chwilą.

— Przede wszystkim — zaczął — należy zaznaczyć, że ambicja może przerosnąć możliwości. Jest rzeczą absolutnie niemożliwą napisać długi fałszywy list obcą ręką, i to tak, aby naprawdę wprowadzić odbiorcę w błąd. Zakładam, że idzie panom o list, a nie po prostu o kilka słów? A w takim razie lepiej nie próbować dokładnego naśladownictwa. Z drugiej strony niedbalstwo łatwo mogłoby mieć fatalny skutek. Jak rzekłem, to pismo jest typowym pismem francuskich urzędników — sądzę, że takiego właśnie uczono w szkołach jezuickich. Mamy tu mnóstwo francuskich uciekinierów. Niech któryś z nich napisze nam ten list.

— Dobrze mówi, sir — rzucił Dorsey do Marsdena.

— A ponadto — ciągnął Claudius — niech treść francuską ułożą Francuz. Panowie możecie się szczycić, że piszecie dobrze po francusku, gramatycznie, lecz Francuz czytający wasze dzieło pozna, że nie jest ono dziełem Francuza. Pójdę jeszcze dalej, panowie. Dajcie Francuzowi ustęp napisany po angielsku i każcie mu oddać jego treść po francusku, a czytający Francuz jeździe będzie świadom, że coś tu nie w porządku. Wasze pismo w języku francuskim musi być *ab initio*[21] ułożone przez Francuza, a panowie muszą się zadowolić naszkicowaniem tylko jego treści.

Hornblower dostrzegł, że Marsden kiwnięciem głowy dał do zrozumienia, że się z tym zgadza. Widać było, że jest pod wrażeniem, chociaż wcale nie chciał tego okazać.

— A teraz, panowie — mówił dalej Claudius — przystąpmy do rzeczy istotnych. Zakładam, że

wasz sfalszowany list zamierzacie wysłać do kogoś z marynarki wojennej albo z armii, czy tak? W takim razie do sprawy można podchodzić z większym spokojem. Ludzie interesu, bezduszni bankierzy, twardogłowi kupcy, mający do stracenia coś więcej niż życie innych ludzi, badaliby dokumenty dokładniej. Jednakże i w sztabie generała zawsze może się znaleźć jakiś wścibski podwładny, pragnący zwrócić na siebie uwagę. Trzeba więc zrobić to możliwie doskonale. Co do podpisu to jestem przekonany, że potrafię odtworzyć go perfekcyjnie. Ten atrament... na pewno dobierze się podobny na Chancery Lane[22]. Konieczne będzie przeprowadzenie kompletnych prób. Drukowany nagłówek... Potrzebne będą specjalnie odlane czcionki dokładnie imitujące te tutaj. Ale panowie będą z tym mieli mniej kłopotu, niż ja miewałem.

— Tak — zgodził się Marsden, zafascynowany tym, co słyszał.

— Natomiast papier... — mówił dalej Claudius, badając starannie jego fakturę serdelkowatymi, lecz wyraźnie wrażliwymi palcami. — Będę musiał poinstruować panów, gdzie go szukać. Sir, będzie pan łaskaw potrzymać papier przed moimi oczami pod światło? Kajdanki w stopniu uciążliwym ograniczają moje ruchy. Dziękuję, sir. Tak, taki jak myślałem. Znam ten gatunek papieru, ale na szczęście nie ma znaku wodnego. Nie będzie więc chyba potrzeby produkowania odpowiedniego papieru *de novo*[23]. Panowie możecie nie doceniać wagi zgodności rodzaju papieru, jeśli nie zaprzęgniecie do pracy wyobraźni. Pojedynczy dokument mógłby przejść, lecz należy brać pod uwagę całą ich serię. Po otrzymaniu, powiedzmy, sześciu oryginalnych pism ktoś dostaje jedno podrobione. W ramach normalnego toku pracy swego urzędu ten ktoś dołoży je oczywiście do poprzednich. Jeśli będzie ono w sposób wyraźny różnić się od pozostałych — a nawet choćby ta różnica była całkiem mała — to z wielkim hałasem zostanie na to zwrócona uwaga. *Hinc illae lachrymae*[24]. A jeżeli przy tym treść okaże się cokolwiek niecodzienna, to — chociaż w innych okolicznościach przeszedłby — w tym wypadku zacznie się awantura i rozdzwonią się wszystkie dzwony[25]. *Et ego in arcadia vixi*[26], panowie.

— Bardzo pouczające — zauważył Marsden, a Hornblower poznał go już na tyle, że wiedział, iż równa się to długiej mowie pochwalnej.

— Teraz panowie, dochodzę w moich wywodach do „w końcu” — powiedział Claudius. W tym momencie znowu błysnęło i potoczył się huk gromu. — Nawet stojąc na ambonie odczuwałem ulgę moich wiernych po tym słówku, toteż będę się streszczał. Sposób dostarczenia pisma musi być zgodny ze sposobem, w jaki dostarczane były wszystkie inne przesyłki. Powtarzam jeszcze raz: konieczna jest maksymalna ostrożność, aby nie dopuścić do czegoś, co zwróciłoby specjalną uwagę na to jedno pismo spośród wszystkich pozostałych.

Wchodząc do pokoju Claudius miał twarz chorowicie bladą pod szczeciniastym zarostem, a gdy kończył mówić, był jeszcze bledszy.

— Może pozwolicie, panowie, że usiądę? — powiedział. — Nie mam już tych sił, którymi ongiś zwykłem był się szczycić.

— Dorsey, niech go wyprowadzą — polecił krótko Marsden. — Dać mu szklanekę wina. Pewnie też jest głodny.

Może właśnie sprawiła to wzmianka o jedzeniu, że Claudius odzyskał swą niezachwianą pewność siebie.

— Befszytk, panowie? — rzekł. — Mogę liczyć na befszytk? Przez ostatni tydzień daremne marzenia o befsztyku pogłębiały jeszcze bardziej gorycz moich koszmarnych snów o stryczku.

— Dorsey, proszę dopilnować, żeby dostał befszytk — rozkazał Marsden.

Claudius odwrócił się. Chwiał się dalej na nogach, lecz na jego okolonych zarostem wargach pojawił się nikły cień uśmiechu.

— W takim razie, panowie, możecie liczyć, że dam z siebie wszystko dla mojego Króla, Ojczyzny i dla mego Ja.

Po odejściu Dorsey'a i Claudiusa Marsden zwrócił się znów do Hornblowera. Pokój, prawie ciemny w samo południe z powodu czarnych chmur wiszących na niebie, wypełniło nagle światło błyskawicy i zaraz rozległ się huk, niby odgłos głośnego strzału z armaty, oddanego bez ostrzeżenia i ucichłego bez pogłosu.

— Jego lordowska wysokość — zaczął Marsden zupełnie nie zwróciwszy uwagi na grzmot — w zasadzie zaaprobował już podjęcie próby. Konsultowałem się z nim dziś rano. A pan Barrow z pewnością myśli o znalezieniu francuskich emigrantów, którzy ułożyliby i napisali pismo.

— Tak, panie Marsden — odparł Barrow.

— Sir, konieczne będzie oczywiście odtworzenie stylu — rzekł Hornblower.

— Niewątpliwie, kapitanie — zgodził się Barrow.

— A rozkazy nie mogą zawierać niczego, co byłoby w oczywisty sposób niewykonalne.

Tu wtrącił się Marsden.

— Kapitanie, czy pańską babcię trzeba było uczyć macać kury? — spytał tym samym beznamiętnym tonem, oględnie przypominając Hornblowerowi, że sekretarze Admiralicji zęby zjedli na pisaniu rozkazów. Hornblower zdobył się jakoś na uśmiech i odparł:

— Zapomniałem, jaką miała w tym praktykę. Wybaczcie mi, panowie. Idzie mi tylko o powodzenie planu.

W tym momencie rozszalała się burza z piorunami. Do pokoju wpadł podmuch chłodniejszego powietrza, przynosząc ze sobą odgłosy ulewy huczącej za oknami, za którymi nic nie było widać oprócz deszczu.

— Możemy być pewni, że panowie Barrow, Dorsey i Claudius zajmą się szczegółami. Następnym punktem do rozważenia jest zejście na ląd.

— Sir, to powinno być najprostszą częścią całej operacji.

Hiszpańskie wybrzeże Biskajów, rozciągające się na przestrzeni blisko trzystu mil od granicy francuskiej do Ferrolu, było rzadko zaludnione i miało urozmaiconą rzeźbę, z mnóstwem zatoczek. Można było mieć pewność, że wszechmocna na morzach Królewska Marynarka Wojenna potrafi niepostrzeżenie wysadzić niewielki oddziałek na ląd.

— Cieszę się, kapitanie, że pan tak sądzi — rzekł Marsden.

Nastąpiła dramatyczna — czy raczej melodramatyczna — pauza. Hornblower przeniósł wzrok z Marsdena na Barrowa i z powrotem na Marsdena, i dreszcz go przebiegł na widok wymienionych przez nich spojrzeń.

— O co chodzi, panowie? — spytał.

— Kapitanie, czyż to nie jest rzecz oczywista, że pan jest człowiekiem najlepiej nadającym się do tej misji?

Marsden wciąż mówił swoim bezbarwnym tonem, Barrow poparł go.

— Pan zna Ferrol, kapitanie. Ma pan też pewne doświadczenia z Hiszpanii. I mówi pan trochę po hiszpańsku. Pan powinien objąć dowództwo.

To dało Marsdenowi asumpt do ponownego odezwania się:

— W tej chwili nie piastuje pan żadnego innego stanowiska dowódczego.

Znaczenie tej uwagi było aż nazbyt oczywiste.

— Doprawdy, panowie... — zaczął Hornblower. Tym razem wyjątkowo nie potrafił myśleć dostatecznie szybko, żeby ubrać w słowa swój protest.

— To nie jest obowiązek, którego wykonanie mogłoby być panu narzucone — ciągnął Marsden. — Rzecz całkiem jasna. To byłaby absolutnie dobrowolna misja.

Wejście na terytorium nieprzyjacielskie w przebraniu łączyło się z ryzykiem sromotnej śmierci. Szubienica, stryczek... a w Hiszpanii żelazny kołnierz garoty[27]. Śmierć przez uduszenie. Konwulsje i wicie się z bólu poprzedzające zgon. Żadna formacja bojowa nie mogłaby nakazać swemu oficerowi podjęcia takiego ryzyka.

— Jestem pewien, że możemy ufać temu Hiszpanowi, Mirandzie — odezwał się Barrow. — A jeśli potrzebny będzie Francuz — pańska opinia, kapitanie, w tym przedmiocie, będzie cenna — to mamy co najmniej trzech, którzy już wykonywali dla nas poważne zadania.

Było rzeczą nie do pomyślenia, żeby ci dwaj sekretarze, ludzie z marmuru, mogli się w ogóle zniżyć do proszenia, lecz wyglądało, że są bliżsi tego, niż byli kiedykolwiek w swoim życiu. Marynarka wojenna może rozkazać marynarzowi, żeby się wspinał po bardzo wysokiej i bardzo

stromej burcie okrętu liniowego w obliczu dobrze wycelowanych muszkietów; za rzecz oczywistą uważano, że człowiek bez mrugnięcia okiem wystawi się na szereg salw burtowych kartaczami; można go było posłać na maszty w najciemniejszą i najbardziej burzliwą noc dla ratowania kilku jardów płótna żaglowego; i powiesić go, rozstrzelać lub zachłostać na śmierć, gdyby się zawahał. Lecz nikt w marynarce wojennej nie mógł rozkazać komukolwiek, żeby ryzykował uduszenie garotą, nawet gdyby na szali znalazł się byt narodu.

Lecz właśnie to — przypomnienie, że Anglia jest w śmiertelnej potrzebie — było argumentem nie do odparcia, czymś, co przysłoniło wszelkie inne względy. W spokojnej atmosferze tego pokoju Hornblower uświadomił sobie, jak bardzo krajowi potrzeba zwycięstwa na morzu i przeciwstawił tej potrzebie znikomą cenę zaproponowanej przez siebie próby. Jak się jednak teraz okazało, ceną mogłoby być jego życie. I... i... komuż mógłby zaufać, że zachowa jasność myślenia, komu powierzyć opracowanie planu lub improwizację w nieprzewidzianej sytuacji? W jego głowie formowały się już, nieproszone, poprawki i udoskonalenia w z grubsza zarysowanym planie, wymagające z jego strony działania. Będzie musiał się zgodzić, a w momencie jasnowidzenia pojął, że gdyby odmówił, nigdy by sobie potem tego nie wybaczył. Musiał powiedzieć tak.

— Kapitanie — rzekł Marsden — nie zapomnieliśmy o rekomendacji admirała Cornwallisa, że powinien pan zostać oficjalnie awansowany.

Słowa te tak bardzo odbiegały od chwilowego toku myśli Hornblowera, że aż zaniemówił. Barrow popatrzył na Marsdena i dodał od siebie:

— Kapitanie, nie będzie potrzeby szukać dla pana okrętu. Mógłby pan otrzymać dowództwo w Morskiej Służbie Pomocniczej, z czym wiąże się stopień kapitański. Potem mógłby pan zostać przeniesiony do służby specjalnej.

Do rozmowy wkradł się obcy element. Coś, czemu w drodze do Admiralicji Hornblower poświęcił więcej niż przelotną myśl. Awans na kapitana. Zostanie „mianowany”, wciągnięty na listę kapitanów. Przystanie być jedynie młodszym stopniem dowódcą okrętu, nieustannie irytującym się z powodu formalnego tylko tytułowania go kapitanem. Będzie kapitanem naprawdę; osiągnie to, o czym marzy każdy w marynarce wojennej, od oficera do najmłodszego chłopca okrętowego w służbie królewskiej. Gdy raz znajdzie się na liście, tylko sąd wojenny albo śmierć może zamknąć przed nim możliwość dojścia do stopnia admirała. A on zupełnie zapomniał o sprawie swego awansu; zapomniał, że postanowił naciskać o to. Nie było nic specjalnie dziwnego, że nie pomyślał o Morskiej Służbie Pomocniczej, stanowiącej ochotniczą rezerwę marynarki wojennej i złożonej z przewoźników, flisaków i rybaków, których można było powołać do służby czynnej w wypadku rzeczywistej próby inwazji. Anglia została podzielona na dystrykty dla potrzeb organizacji i podstawowego szkolenia tych ludzi, a każdym dystryktem dowodził kapitan — kapitan mianowany.

— I co, kapitanie? — spytał Marsden.

— Podejmuję się — odparł Hornblower.

Z nowej wymiany spojrzeń wyczytał ulgę czy może satysfakcję lub wzajemne gratulacje. Byli radzi, że łapówka okazała się skuteczna. Chciał już wybuchnąć w pełnym oburzenia proteście, że ich

propozycja nie miała żadnego wpływu na jego decyzję. Lecz dał spokój, wspomniawszy słowa filozofa, że często żałował wypowiedzianych słów, lecz nigdy tego, że zmilczał. Kilka sekund ciszy — zupełnie przypadkowej — przyniosło mu awans na kapitana. Kilka sekund mówienia mogło tę szansę zniweczyć. Wiedział też, że ci dwaj cynicy i tak nie uwierzyliby jego protestom. Przez to nie zamierzone targowanie się mógł nawet zyskać w ich oczach, zaprzeczanie uznałoby z pewnością za godny pogardy przejaw hipokryzji.

— Wobec tego, kapitanie, zaaranżuję zawarcie pańskiej znajomości z Mirandą — powiedział Marsden. — I będę zobowiązany, jeśli obmyśli pan i opracuje szczegółowy plan, żebym mógł go przedłożyć jego lordowskiej wysokości.

— Tak, sir.

— Ustnie, jeśli łaska. Nic, kapitanie, co wiąże się z tym planem, nie może znaleźć się na piśmie. Z wyjątkiem ewentualnie pańskiego końcowego raportu po osiągnięciu sukcesu.

— Rozumiem, sir.

Czyżby wyraz twarzy Marsdena stał się łagodniejszy? Jego ostatnie zdanie z pewnością miało być żartem, a to było coś zupełnie wybiegającego poza normalną praktykę. Hornblower miał przebłysk nagłego jasnowidzenia: obok wszelkich normalnych zadań na sekretarzu Admiralicji ciążyła odpowiedzialność, która czasem musiała napełniać go niepokojem. To on musiał (ze względu na fakt, że zmieniający się pierwsi lordowie i lordowie morscy nie mogli zapewnić koniecznej ciągłości) załatwiać wszelkie tego rodzaju sprawy: gromadzenie informacji, czasem szerzenie fałszywych wiadomości — faktycznie ze szpiegostwem włącznie, żeby określić to jednym i nieładnym słowem. Hornblower rozumiał teraz, jak musi być trudno znaleźć niezawodnych agentów, ludzi, którym można by ufać, że nie będą pracowali dla dwóch stron. W tej chwili Marsden poczuł tak wielką ulgę, że nie potrafił tego ukryć.

— Kapitanie, dopilnuję, żeby pański awans został podany do publicznej wiadomości. — To mówił Barrow, do którego należało załatwianie szczegółów. — Przeczyta pan o sobie przed końcem bieżącego tygodnia.

— Doskonale, sir.

Gdy Hornblower wyszedł na ulicę, padał słaby deszczyk, ale z oznakami, że potrwa dłużej. Był bez płaszcza, nie miał też na sobie brezentowej oponczy, z przyjemnością jednak wędrował w deszczu. Czuł, że musi tak iść przed siebie. Chętnie wystawiał twarz na krople deszczu i mówił sobie, że miękka woda deszczowa wypłucze lepka morską sól przesycającą całą jego odzież. Ta myśl tylko na chwilę odciągnęła go od innych myśli, kłębiących mu się w głowie jak węgorze w worku. Nareszcie ma zostać kapitanem, a wkrótce będzie szpiegiem.

C. S. Forester zmarł przed ukończeniem powieści *Hornblower i kryzys*, lecz na podstawie pozostawionych przez niego notatek można się zorientować, jak ta historia miała się zakończyć.

Hornblower przechodzi szkolenie przygotowujące go do misji szpiegowskiej. Wygląda swój

hiszpański z rumianolicym hrabią Miranda, któremu ma towarzyszyć do Hiszpanii jako jego służący. „Będzie musiał uważać na każde słowo i gest, jego życie zależeć będzie od tego, że nie uczyni nic, co by ich zdradziło”. A potem przechodzi kryzys sumienia z powodu zostania szpiegiem.

Wieziony łodzią wiosłową ku okrętowi, który miał go zabrać ze Spithead do Hiszpanii, Hornblower myśli: Jeszcze jeden etap do przodu w tej nienawistnej podróży. Każde pociągnięcie wiosła przewoźnika zbliżało go do momentu straszliwego napięcia; niemal do pewności, że zginie okropną, haniebną śmiercią...

Zastanawia się, czyby nie zawrócić, lecz poczucie obowiązku zwycięża.

Sfałszowane listy zostają doręczone Villeneuve'owi, co skłania Francuza do wyjścia w morze i podjęcia walki. A tego właśnie pragnie Nelson.

Doprowadza to do zwycięstwa pod Trafalgarem. Bieg historii zostaje zmieniony.

[1] „Princess” — „Księżniczka”

[2] Niekonsekwencja Foreстера: wodę przepompowywano ze zbiorników, a teraz pisze o baryłkach.

[3] Ushant — angielska nazwa francuskiej wyspy Ouessant.

[4] „Prince od Wales” — „Księżę Walii”.

[5] Chodzi o Cieśninę Gibraltarską.

[6] Angielska fonetyczna postać nazwiska Villeneuve ma wydźwięk żartobliwo-złośliwo-pogardliwy, ponieważ angielskie villain (wym. wilen) znaczy: łobuz, huncwot, ale także: łajdak, łotr, nikczemnik.

[7] Poprawnie: Boulogne.

[8] Scilly Islands — grupa wysp i małych wysepek (ok. 50) w odległości 40—58 km od przylądka Land's End w Kornwalii (pd. Anglia).

[9] 1 liga — ang. League — 2 mile morskie = 5564,895 m.

[10] Jak wiadomo z poprzednich tomów, Hornblower, głuchy na tony, nie znosił muzyki ani śpiewu.

[11] Montez (fr.) — Proszę wchodzić.

[12] „*Coup des deux veuves*” (fr.) — cios z dwoma wdowami.

[13] Brandery — okręty naładowane materiałami łatwo palnymi i wybuchowymi, używane do podpalania jednostek nieprzyjacielskich. Wzmianka dotyczy sytuacji opisanej w *Pan midszypmen Hornblower*.

- [14] Horse Guards Parade — Plac Apelowy Gwardii Konnej.
- [15] *Ruse de guerre* (fr.) — fortel wojenny.
- [16] *Cul-de-sac* (fr.) — ślepa uliczka.
- [17] *Aides de camp* (fr.) — adiutanci.
- [18] Czyt. Wilun-nuw. Nieświadomie zniekształcona angielska fonetyczna postać nazwiska Villeneuve.
- [19] Admirał J o h n B y n g (1704—1757) został sądem wojennym skazany i rozstrzelany na pokładzie swego okrętu „Monarque” w Portsmouth za błędy strategiczne popełnione pod zajętą przez Francuzów Minorką.
- [20] to znaczy Rzymu opisanego przez Gibbona. Edward Gibbon (1737—1794), angielski historyk, jest autorem m.in. sześciotomowego dzieła *Zmierzch cesarstwa rzymskiego* (*Decline and Fall*, 1776—1788), obejmującego dzieje cesarstwa rzymskiego od śmierci Marka Aureliusza (180 r. n.e.) do upadku Konstantynopola (1453), napisanego pięknym stylem i wciąż mającego dużą wartość naukową.
- [21] *ab initio* (łac.) — od początku.
- [22] Chancery Lane — ulica w Londynie, niegdyś zamieszkała głównie przez prawników.
- [23] *de novo* (łac.) — od nowa.
- [24] *Hinc illae lachrymae* (łac.) — dosłownie: Stąd te łzy. Tu przenośnie: W tym cały kłopot.
- [25] i rozdzwonią się... — zrobi się wielki szum.
- [26] *Et ego in arcadia vixi* (łac.) — I ja żyłem (byłem szczęśliwy) w arkadii, czyli: wszystko przepadło.
- [27] Garota (hiszp.) — obręcz zaciskana gwintem; narzędzie tortury i kary śmierci przez uduszenie.